

czerwony karzet

1 (20) 2016



ISSN 1425-9952



9 771425 595204

PROZA

Luiza Dobrzyńska <i>Żmijowy dar</i>	7
Jean-François <i>Dzień degustacji</i>	24
Anna Musiałowicz <i>Dusiołek</i>	31
Norbert Góra <i>Katastrofalna bezsenność</i>	41
Andrzej Prószyński <i>Myszki i ludzie</i>	50

PUBLICYSTYKA

Roman Drzeżdżon <i>Bestiarium kaszubskie i...</i>	3
Elżbieta Żukowska <i>Fantasy słowiańska albo zła reputacja</i>	18
Wywiad: <i>Nie mamy się czego wstydzić</i>	27
Grzegorz Szczepaniak <i>Moje ze słowiańską fantasy przypadki</i>	38



Archiwum CK
na stronie GKF

Czerwony Karzeł
Magazyn Literacki
Gdańskiego Klubu
Fantastyki
Nr 1 (20) 2016

100 egz.

ISSN 1425-5952

Adres korespondencyjny:

80-385 Gdańsk
ul. Opolska 2

Redakcja:

Karolina Kaczkowska (RN)
Agata Plank-Wcisłowska
Jan Plata-Przechlewski
Grzegorz Szczepaniak

OD REDAKTORA

Mity to najstarsze opowieści tworzone przez ludzkość. Początkowo służyły one objaśnianiu zastanej rzeczywistości, miejsca człowieka w świecie oraz spraw ostatecznych. Kiedy ludzkość opracowała bardziej zaawansowane narzędzia poznania – funkcja mitów zmieniła się. Do dziś tworzą one zasób tradycji literackiej, pozostając skarbnicą motywów i archetypów. Od niedawna dołączyła do nich także mitologia słowiańska, przez lata nieco zaniedbywana tak w popkulturze krajowej, jak i w edukacji historycznej młodych Polaków.

Z wielką przyjemnością oddajemy zatem do rąk naszych Czytelników najnowszy numer Czerwonego Karła poświęcony tematyce mitologii słowiańskiej. W środku znajdziecie kilka opowiadań, które udowadniają, że słowiańskie motywy pasują do rozmaitych konwencji oraz wywiad ze znawcą tematu – Witoldem Jabłońskim.

Życzymy przyjemnej lektury i dziękujemy, że jesteście z nami!

E-mail:

delvanakk@gmail.com

Okładka:

Paulina Śliwa, *Marzanna*

Druk:

Print Group Sp. z o.o.
<http://printgroup.pl>



ROMAN DRZEŹDŹON

BESTIARIUM KASZUBSKIE I...

Na początku był *Aniół*. *Aniół Kaszëb*, który prosił Boga, żeby upiększył pomorską krainę. I słowo stało się ciałem. I było pięknie. Aż nagle pojawiły się straszliwe *smòczy*, *grifë* i olbrzymie *stolemë*. Wybuchły wojny. Kiedy *smòczy* wyginęły (choć powiadają, że nie wszystkie – niektóre przetrwały, by później paść ofiarą człowieka) w walce ze *stolemama* – olbrzymy te były, aż do przyjścia człowieka na Kaszuby, panami tej ziemi. Kształtowały ją wedle swojej potrzeby i zachcianek. Chciał *stolem* wygodnie usiąść – usypywał wzgórek, chciał przejść przez jezioro – budował groblę, chciał popisać się przed wybranką serca, piękną *stolem-ką* – ciskał głazami. Zaraz, zaraz, to nie tak – głazy pozostawiły *pùrtczy* – diabły, chcące zniszczyć budowane w początkach chrześcijaństwa na Pomorzu klasztory i kościoły. *Stolemów* już nie ma, a *pùrtczy* kryją się pewnie jeszcze (bo zło nigdy nie odchodzi) w różnych zakamarkach Kaszub.

Po *chëczach* próżno szukać maleńkich, na stopę wyrosłych, *kròsniätów*. *Kròsniã*, *kròsniòk*, *drëmny*, *drobny* – różnie je nazywano, to nie taki jednopłciowy polski krasnoludek. Wśród nich widywano i kobiety, i dzieci. Zresztą miały swoje podziemne, z skrywanych w nich bogactw słynące, królestwa. Lubiły też zamieszkiwać krzaki bzu, ludzkie domostwa, stajnie i obory. Dobrym i biednym ludziom pomagały, złym dokazywały. Jeśli któryś z przedstawicieli ludzkiego rodu miał w sobie tyle

szczęścia (i wiary!), mogły *kròsniãta* zamienić szyszki w złoto.

Bogactwo, któż z nas o nim nie marzy. Jak je zdobyć? *Kròsniãta* już nie pomogą, to może *mamón*, który przesusza pieniądze na bagnach? *Mamón* – diabeł, zły duch zwodził ciekawskich wędrowców *blãdnyma ògnikama*. Kto za nimi w nierozumnym amoku podązał, mógł trafić na miejsce zakopanego skarbu, mógł też zginąć, topiąc się w grząskim bagienным gruncie. Można jeszcze było wezwać *latalëcã* – demona, który w postaci ognistej kuli przynosił kaszubskim gospodarzom złote monety.

Coś za coś! Złoto za duszę. Ponoć o bogactwo można było poprosić *czòrnoksãżnikã* mieszkającego w wielkim mieście – Gdańsku, Szczecinie. Miał on tam ponoć schowane w piwnicy beczki wypełnione wszelkimi dobrami – zbożem, budulcem, pieniędzmi. Bierz a wybieraj, ale pamiętaj, po śmierci diabeł weźmie twoją duszę. Jeśli zdąży! Życzysz może choroby albo nawet śmierci swojemu wrogowi? *Czòrnoksãżnik* spoglądał w lustro i mu je zadawał. Robił tę przysługę kaszubskimu *farmazynowi* – masonowi, który miał zdolność bilokacji – pojawiania się w dwóch miejscach naraz. Ponoć pojawiać się niekiedy miał po swojej śmierci, w swoim dawnym gospodarstwie, na polu czy w pańskim lesie, gdy diabeł, któremu obiecał duszę, nie zdążył jej porwać do piekła.

Nie bój się jednak wchodzić do lasu w ciągu dnia! Przed złym uchroni cię



- 4 *Bòrowô Cotka* – dobra opiekunka puszczy. Uważaj jednak! Nie włóż, gdzie nie potrzeba, nie niszczy grzybów (nawet trujących), krzaków i drzew. W przeciwnym razie *Bòrowô Cotka* nie ochroni cię przed atakiem rozwścieczonych os czy komarów! Nie ochroni cię przed czarownicą!

Czarownice – gdzież ich nie ma! Żyją w każdej kulturze, będąc pożywką dla diabolicznych opowieści. *Czarownica* – zła baba z Kaszub, nosząca beczkę od smoły na głowie, śpiąca w tacze, latająca na miotle lub ożogu, tańcząca z diabłami podczas świętojańskiej nocy na *Łēsëch Górach*. Uważaj na nią w kaszubskich wsiach Strzelno, Staniszewo, Smolno! Ponoć w nich czarownice i dziś mieszkają. Jeśli już musisz wybrać się do tych miejscowości – zawiąż sobie czerwoną wstążkę na nadgarstku lub szyi. Może nie pomoże, ale na pewno

nie zaszkodzi. Nie bójcie się jednak wy, którzy jesteście we wtorek rodzeni. Dzięki tak szczęśliwemu zbiegowi okoliczności macie naturalną ochronę przed złym wzrokiem kaszubskiej *czarownicë*.

Mniej szczęścia mają ci, którzy się w czepku urodzili. Tak, tak, to nie zapowiedź, jak w polskiej kulturze, dobrego życia, tylko nieszczęścia, jakie czeka was po śmierci. W czepku urodzony zmieni się w *wieszcégò* – upiora, który, chcąc-niechcąc, będzie z grobu wstawał, będzie członków własnej rodziny zabijał, który wreszcie będzie musiał głowę, poprzez jej ucięcie torfowym szpadlem, stracić, by zaznać wiecznego odpocznienia. *Wieszczi* nie taki straszny? *Òpi* gorszy! Urodziłeś się z dwoma zębami? Będziesz miał niewytłumaczalny pociąg do dzwonów kościelnych. Po śmierci, bądź tego pewny, zapragniesz z grobu





w swoim ziemskim ciele powstać, dojść jak najszybciej do dzwonnicy i pociągnąć za sznur, by wszyscy ci, którzy dźwięk dzwonu posłyszają, pomarli w męczarniach. Że śmierć to męska sprawa? Nie! Urodziłaś się jako siódma córka? Nawet nie będziesz wiedziała, kiedy i jak, jako nocna *mòra*, twoje ciało opuści żadna śmierci dusza...

Uważaj człowiecze na *pòtãpieńców* kręcących się po świecie. Nie odpowiadaj *Na wieczy wieków...* na ich chrześcijańskie powitanie *Niech bãdże pòchwòlony...* Odpowiedz raczej *Wszelczy ducha Pana Bòga chwòli*. Obyś pamiętał, w przeciwnym razie będziesz jak wielu nieuwważnych *chòdzęc na pòkùtã* pod krzyż na rozstajnych drogach, i będziesz modlić się o północy za tę duszę cierpiącą, którą nieopatrnie pozdrowiłeś. Będziesz się modlić, lecz zdarzyć się może, że będziesz i marnieć, aż wyzwoliwszy tamtą nieszczęsną duszę od mąk, twoja wnet potem dołączy do zastępów umarłych.

Pamiętaj! Nie kąp się w morzu czy jeziorze przed świętym Janem, to jest przed Sobótką! Może na dno wciągnąć cię *topielëca* lub *mòrzkùlc*. Ten drugi przywołuje do siebie żywych wołając pośród huku morskich fal: *Hó, hó, hó, pòjta le tu!* Jeśli usłuchasz jego wołania, staniesz się jak on morskim upiorem. Choć z drugiej strony, jeśli ciekawi cię świat wodnych demonów, bogów i bogiń, może spotkasz w odmętach syrenopodobną *mòrzëcã*, sprawcę gwałtownych sztormów *szòlińca*, dojrzyysz na horyzoncie palącą się lampę dobrego okrętowego duszka *klabaternika*, może nawet dowiesz się w końcu czy ten słynny *Gòsk* – kaszubski król mórz

i oceanów naprawdę istnieje, czy jest li tylko literackim wymysłem kaszubskich pisarzy z międzywojnia.

Za żadne skarby, wędrowcze po kaszubskich *stegnach* wijących się wśród dojrzewających łąnów zbóż, nie zbacжай z drogi, by zerwać chlebobajne kłosy. Oj, nie lubią tego opiekunowie pól – *żët-nô mac, żëtny sztrëch czy ówsny kón*. Nie daj się skusić widokiem pięknego ciała *pólnicë*, a szczególnie uważaj na *roztrãbòcza*, który wyskakuje ze zboża, doprowadzając przechodzących do klekotania serca. Podobno zimą, ze względu na jego cenne futro, próbowano go złapać do worka, ale z tego co wiadomo, nikomu ta sztuka się dotąd nie udała...

Nieudane również są do tej pory próby szerszego zaprezentowania polskiemu czytelnikowi kaszubskiego panteonu postaci „nie z tego świata” (choć z tym światem mocno związanych). Dostępne są co prawda prace prof. Jerzego Sampa (np. *Smętk, Studium kreacji literackich*, 1984, *Mitopeje Pobrzeża Bałtyku*, 2008) czy Aleksandra Labudy kompendium wiedzy o bogach i duchach kaszubskich (*Bògowie i dëchë naj przodków*, 2008), ale ich znajomość ograniczona jest jednak do pomorskiego terytorium i wąskiego kręgu czytelników-pasjonatów demonologii ludowej.

Próbując wydobyc z zapomnienia oraz wypromować w szerszych kręgach kaszubskie demony, diabły czy złe duchy, Grzegorz J. Schramke oraz Roman Drzeżdżon pracują od kilku lat nad *Bestiariuszem kaszubskim*, w którym hasłowo opisane byłyby najważniejsze postacie demonologiczne z kaszubskiego kręgu kulturowego. Autorzy planują wydanie książki na 2017 rok. ❧

**MÖRZĚCA** – nimfa morska, syrena

SKRÓTOWY OPIS

KATEGORIA: demon żeński

MAGIA: brak

ŻYWIÓŁ: wody słone

CHARAKTER: tajemnicze i niebezpieczne, lecz niekoniecznie złe i okrutne

CECHY WYRÓŻNIAJĄCE: cudnej urody, przepiękny głos, od pasa w górę kobieta, od pasa w dół ryba.

INNE NAZWY: mōrskō panna, mōrżęcčka, sērēna, syrena

W odróżnieniu do mitycznych greckich syren, kaszubska **mōrżęcka** niekoniecznie musi być zła i okrutna. Co prawda według niektórych wierzeń, zapisanych przez ks. Sychtę (*Słownik gwar kaszubskich...*) zwabia pięknym śpiewem rybaków i żeglarzy w głębinę, lecz mówi się tam też o pewnym mężczyźnie, który pochwywszy **mōrską pannā**, wypuścił ją ujęty jej prośbami, a ona w zamian za wolność obdarowała go *głosem równie słodkim* jak jej. Także z innego wierzenia, również zanotowanego przez Sychtę, **mōrżęcka** jawi się jako istota łagodna i miła. Oto ono:

Mōrżęcka żęje w mōrizim, ale czasā ōna wińdze na brizęj. Bōdōj nierōz widzelē lēdze, jak ōna sā węgżiwō na słuńcu abō sā czesze. ōna mō całē złotē włosē, a na szęji ōna nosy z bursztēnu pōcōrzi. I wińc z kwiatōw ōna mō na głowie. Mōrżęcē mōgq piākno spiewac. Czej ōne spiewajq tej mōrze szēmi.

Podobnie **mōrską pannā** przedstawia ks. Leon Heyke w swym o kilkadziesiąt lat wcześniejszym niż *Słownik...* Sychty zbiorze *Podania kaszubskie* z 1931 r. W jednej z zamieszczonych tam opowieści syrena, ta *przecudnō niewiasta*, której *włosē bēlē żōltē jak jantar a piersē biōlē jak śniēg i piana*, ostrzega *słōdczim głosā* dzielnego rycerza, dzierżącego gród na Kępie Oksywskiej o najeździe wroga. Ostrzeżony, nie daje się więc zaskoczyć nieprzyjacielowi, a oblężenie nie przynosi najeźdźcom spodziewanego skutku. Co więcj **mōrżęcka**

pomaga swemu rycerzowi w obronie, doradzając mu (a więc musiała być inteligentna), a także sprawia, iż pewien niedoszły skrytobójca w ciągu trzech dni od nieudanej próby zamachu na rycerza bądź nią samą topi się podczas kąpieli. Pomimo pokonania najeźdźcy, trudno ocenić, czy historia dzielnego woja i **mōrżęcē** kończy się szczęśliwie. W opowieści czytamy bowiem, iż *pewny cęchi nocē, czej syrenē przemile spiewałē, ricerza takō wzāła te-sknosc, że ōn w czōlnie wēplēnq na mōrze. Tam gō ōbstqpitē syrenē i ju gō nie pūscētē. Nicht gō ju wicy nie ūdrzōł. Co się więcj z nim stało? Czy gdzieś tam zaczął żyć ze swoją ukochaną mōrżęcq, toć od pierwszego spotkania wcyg le ò ni mēslōł, a i ona już wtedy rzekła *Jō ce kōchajā, dzelny wōju?* A może po prostu mōrżęcē zwabiły go i utopiły, a miłość i pomoc jego *mōrszczi pannē* były tylko udawane? Choć możliwy jest i inny, bardziej dramatyczny scenariusz. Otóż wiemy tylko, że rycerza *ōbstqpitē syrenē i ju gō nie pūscētē*. A zatem mogło się zdarzyć, że to inne mōrżęcē, nieaprobujące związku ich siostry z człowiekiem, zwabiły wōja i obstqpiły, sprawiwszy wpierw, by ona nie mogła przyjść mu z pomocą. Niestety, wszystko to tylko hipotezy.*

Wracając do faktów, ma więcj mōrżęcka i złote włosy, i sznur koralu bursztynowych, i wieniec z kwiatów. Obdarzona jest cudnym głosem. Jest niezwykle urodziwa, co jednak nie może dziwić, skoro według legendy *mōrszcē pannē* to dziewczęta, które spędzały czas na bezwstydnym uciechach z biblijnymi żołnierzami faraona i razem z nimi zostały pogrążone w falach Morza Czerwonego. Stąd też kara w postaci rybiego ogona, który sprawia, że nimfy te nie mogą być w każdym aspekcie kobietami i zaznać pełni szczęścia. Więc i historia wspomnianego wyżej rycerza i mōrżęcē mogła mieć wymiar li tylko platoniczny.

Na koniec jeszcze ciekawostka. Otóż Heyke nadmienia w swej opowieści, iż 1531 r. rybacy pochwyli syrenę i oddali ją polskiemu królowi Zygmuntovi. Ta jednak po trzech dniach umarła, jako że *bez mōrza žęc ni mōže*.



LUIZA DOBRZYŃSKA

ŻMIJOWY DAR

Miłosia lubiła zbierać maliny, grzyby i jagody. Mogła wtedy spędzić nawet całą dzień w lesie i nikt nic nie mówił – ani macocha, ani jej synowie, byle przyniosła pełen kosz. Cała wieś wiedziała, że nikt tak dobrze jak Miłosia nie umie znaleźć leśnych darów nawet wtedy, gdy uważano, że pobliskie lasy już nie mają nic do zaoferowania. Dalej, w Niedźwiedzią Puszczy, ludzie z Gniewoszowej wsi, zasiedlonej przez ród Gniewosza Łuczniaka, woleli się nie zapuszczać. Mawiano, że rządzą w niej mamuny i dziwożony, i że dzieją się tam dziwne rzeczy. Na dowód tego pokazywano wioskowy fetysz: ogromną bryłę bursztynu z zatopioną w środku niezwykłą jaszczurką. Nikt nigdy takiej nie widział, a bursztyn przyniósł do wsi jako młody chłopiec Ziomomysł od Garncarza, obecnie najstarszy żerca w miejscowym chramie Wielkiej Bogini Mokoszy. Znalazł go właśnie w Niedźwiedziej Puszczy i wróciwszy opowiadał, że dała mu go „srebrna pani”, tak zwiewna, iż widać było przez nią na wylot. Urzędujący wtedy w kramie kapłan stwierdził, że musiała to być Dziedzilija, służka Wielkiej Bogini i zabrał chłopaka razem z jego skarbem do chramu, gdzie wykształcił go na żercę, znawcę rytuałów bogini. Może miał rację? Odkąd bursztyn znajdował się w posiadaniu rodu Łuczniaka, a Ziomomysł składał całopalne ofiary Mokosz i jej sługom, mieszkańcom wciąż rosnącej wsi dobrze się wiodło. Owce dawały dużo dobrego, słodkiego mleka i piękną wełnę, mężczyźni przynosili z polowania tłustą zdobycz, a dzieci rosły zdrowo. Odwiedzający Gniewoszową handlarze chwalili sobie piękne skóry, wędzone mięso i wyroby z kości. Dawali za nie dobrą cenę. Miłosia nie pamiętała też, by którykolwiek z porodów przy świętym źródle źle się skończył. Co prawda, miała dopiero czternaście lat i nie wszystko wiedziała.

Rozgarniając grubym kijem kolczaste krzaki dziewczyna stanęła niespodziewanie nad głębokim dołem. Ledwie zdołała się cofnąć, by do niego nie wpaść. Zaciekawiona ukucnęła i spojrzała do środka. Dziura w ziemi była naprawdę głęboka, o niemal prostopadłych ścianach i kamienistym dnie. Na samym dole wił się srebzysty kształt.

— Wąż — szepnęła Miłosia. — Musiał tu przypadkiem wpaść i nie może wyjść. Umrze biedak z głodu.

Wyraźnie rozróżniła teraz charakterystyczny zygzak na grzbiecie stworzenia i wzdrygnęła się lekko. Żmije były niebezpieczne. Ukąszony przez nie człowiek mógł umrzeć w boleściach i nawet święty *wolchwach*, rozmawiający z duchami, nic nie potrafił pomóc. Gdy tak patrzyła, wąż uniósł płaski łeb i spojrzeł do góry, wysuwając język. Spróbował wspiąć się na jedną ze ścian, ale spadł ponownie na kamienie.

— Nie chcę żebyś umarł tutaj. Głód to taka okropna rzecz — Miłosia wyciągnęła z wahaniami swój kij. Bała się gadów, ale chęć pomocy niewinnemu zwierzęciu przeważała lęk. — Spróbuję cię jakoś wyciągnąć.

Wsunęła długi przedmiot do dołu. Żmija początkowo cofnęła się, a potem wpełzła na kij, owijając się wokół jego końca. Dziewczyna wyciągnęła ją na powierzchnię, strząsnęła w zarośla, a potem złapała swój koszyk i uciekła, nie oglądając się za siebie. Dopiero na



8 skraju lasu zatrzymała się, zdyszana i drżąca. Kolce krzewów pozostawiły czerwone kreski na jej obnażonych rękach, jeden dłuższy cień rozdarł sukienkę z boku. Będzie musiała ją później naprawić. Sprawdziła kosz. Na szczęście nie rozsypała malin podczas panicznej ucieczki i mogła spokojnie wracać do domu, w poczuciu spełnionego obowiązku.

— No jesteś nareszcie! — macocha odebrała od Miłosi kosz i nakryła troskliwie maliny lnianą szmatką. Potem zlustrowała dziewczynę uważnym spojrzeniem i ujęła się pod boki. Mimo urodzenia dwóch synów miała jeszcze całkiem zgrabną figurę i wyglądała na młodszą, niż jest.

— Jak ty wyglądasz? Natychmiast się obmyj i rozczesz włosy, a ja przygotuję ci wianek i suknię. Przyniosłam wodę ze świętego źródła, sprawi że wszyscy będą się za tobą oglądać — podeszła do rzeźbionej skrzyni w kącie izby. Wyjęła z niej piękną szatę z bielonego na słońcu płótna, wyszytą na brzegach rękawów czerwoną nicią w święte znaki. Obejrzała ją uważnie ze wszystkich stron. — Musisz dziś wyglądać jak sam kwiat paproci, a może któryś z chłopaków zechce wyłowić twój wianek. Już wielki czas, żebyś posłubiła jakiegoś dzielnego myśliwego lub rzemieślnika. Ja w twoim wieku nosiłam już niewieściami namitkę i oczekiwałam narodzin dziecka.

— Boję się tego, druga matko — Miłosia naląła sobie wody z dzbana do miski i zaczęła się myć. — Nie chcę, żeby pomiałała mną rodzina męża. Czasem myślę, że wolałabym zostać strażniczką świętego ognia w chrampie i od nikogo nie zależeć.

— Głupstwa opowiadasz. Wszystkie przez to przeszły i jakoś żyją, ja też. Matka Sobka, mojego pierwszego męża, biła mnie codziennie, póki nie urodziłam Godzimira. Potem jakby ją mamuny podmieniły, taka się zrobiła słodka. A ty jesteś za ładna na to, by wędzić się przy świętym ogniu. Własny dom to skarb dla kobiety. Dzięki za niego bogom i wszystkim życzliwym domowcom.

Lutosława dotknęła z uszanowaniem diducha, ostatniego snopa świętego podczas zeszłorocznych żniw i zgodnie z dobrymi obyczajami postawionego w kącie izby. Kilku mieszkańców wsi miało niewielkie poletka na wykarczowanych terenach pod lasem, jej synowie również. Siali na nich owies i żyto, nie zaniedbując przy tym odpowiednich obrzędów, aby nie





rozniewać bogów pól i drzew. Co roku stawiali diduch w kącie izby, dekorowali go na Wielkie Gody i co wieczór stawiali pod nim miseczkę z resztkami dla domowych skrzatów. W wielu wsiach zabierano do izby nie ostatni snop zboża, a pierwszy, i w dodatku palono go na przedwiośniu, nie na początku żniw. Jednak tutaj hołdowano najstarszym tradycjom i kąć izby zawsze zdobił ostatni snop. Wkrótce zastąpi go nowy, by dalej przynosić szczęście domowi Izborze Bartnika. Co prawda gospodarz nie żył od czterech lat, ale we wsi nadal tak nazywano jego chatę.

— Nigdy mi nie mówiłaś, dlaczego wyszłaś za mego pana ojca — Miłosia włożyła cienkie giezło, wzięta rzeźbiony z jednego kawałka kości grzebień i zaczęła rozczesywać włosy. Sięgały jej niemal do stóp, lśniąc niczym świeżo wyłuskane kasztany. — Wszyscy mówili, że jest dla ciebie zbyt stary, i dwóch innych, młodszych, starało się o ciebie... Musiałaś?

Lutosława podała jej spleciony z polnych kwiatów wianek i pomogła umocować go na głowie przy pomocy drewnianych szpil.

— Izbor był po prostu najlepszy — odparła. — Nikt mnie nie przymuszał, bo też nie miał kto. Moi rodziciele, mąż i jego rodzina zginęli podczas ataku Niemych Jeźdźców, bodaj ich ród zmory wydusiły.

Niemi Jeźdźcy wcale nie byli pozbawieni języka, jak można by sądzić z tej nazwy, jedynie posługiwali się wstrętną, chropawą mową, której nikt oprócz nich nie rozumiał. Nienawidzono ich i bano się, ale stawiano mężnie czoła ich atakom. Chociaż Polanie – bo przecież wywodzili się od ludzi żyjących na polanach w głębi lasów – mieli gorszą broń, umieli się bronić. Coraz częściej mówiono, że ta ziemia potrzebuje jednego wodza, który zjednoczy wszystkie rody i osady. Że Polanie, Drewlanie, Radymicze, Chorwaci, Wiatycze, Siewierzanie – wszyscy powinni mieć jednego władykę, który ich poprowadzi na wojnę z Niemymi, ale na razie było do tego daleko.

— Ci, o których mówisz, chcieli mnie z powodu synów. Zdatna do rodzenia, myśleli, urodzi i mnie. Chłopcy Sobiesława tak naprawdę ich nie obchodzili. Mogli nawet ich skrzywdzić, żeby nie rywalizowali potem z ich własnymi dziećmi, a ja tego nie chciałam. Izbor był już stary, ale za to naprawdę mnie lubił, dla mnie samej. Godzimira i Bogdasza uznał przed świętym ogniem w chrampie za swoich. Byłaś wtedy jeszcze malutka, ale pamiętasz, prawda? Nauczył ich swego rzemiosła i dobrze traktował. Opłakiwałam go szczerze, gdy umarł, choć pomawiano mnie o fałsz.

Miłosia zarzuciła na siebie suknię, zawiązała czerwoną tasiemkę pod szyją i okręciła się na pięcie.

— Ładnie wyglądam?

— Jak sama wiosna — macocha obejrzała ją z wyraźnym zadowoleniem. — Jeśli dziś nie złapiesz męża, to chyba dlatego, że nie będziesz chciała.

Do chaty wszedł Bogdasz, młodszy z synów Lutosławy, krzepki młodzieniec w skózanym kaftanie – oznace myśliwego — i zrzucił z ramion upolowanego jelonka.

— Trzymaj, matko — powiedział. — Uważaj tylko, żeby nie zepsuć skóry, jest wyjątkowo ładna. Jeszcze kilka takich i będę miał na wykup.

— A gdzie Godzimir?

— Znalazł wielką barć i zrezygnował z polowania. Powiedział, że wróci, gdy tylko podbierze pszczołom kilka plastrów. O tej porze roku miodu jeszcze nie będzie zbyt wiele, ale zawsze coś, no i potrzebujemy wosku. Kupcy dobrze za niego płącą.



10

— Wciąż chcesz ożenić się z Białką od Owczarzy? — spytała Miłosia. Oglądała właśnie swe odbicie w dobrze wypolerowanej tarczy z brązu, pamiątce rodowej.

— Oczywiście, siostró. Wiem że jej nie lubisz, ale to dobra, pracowita dziewczyna. Nic dziwnego, że chcą za nią tak dużego wiana — Bogdasz uśmiechnął się na myśl o swej wybrance. Starąło się o nią kilku chłopców, ale to jemu była przychylna. Pociągnął żartobliwie siostrę za pasmo długich włosów.

— Nie to, że jej nie lubię, jest po prostu nudna — Miłosia wzruszyła ramionami i spojrzała za okno. Na dworze zaczynało już zmierzchać. — Biegnę nad Bystrą, już pewnie rozpalają ogniska.

— Biegnij, my tam wkrótce przyjdziemy.

Podczas uroczystości kupalnych było bezpieczniej, gdy dziewczyna miała przy sobie braci lub kuzynów. Podnieceni syconym miodem młodzieńcy stawali się natarczywi, a nawet brutalni, lepiej było uważać, szczególnie gdy księżyc stał już wysoko. Niejedna panna, kręcąca nosem na konkurenta, w noc Kupały zostawała przez niego porwana i gdy tylko zdołał przenieść ją przez próg swej chaty, należała do niego. Rodzinie pozostawało odprawić obrzędy i pożegnać się z córką. Miłosia nie miała zamiaru tak skończyć, a na szczęście na braci mogła liczyć.

Nad rzeczką Bystra płonęły dziesiątki ognisk. Młodzi ludzie z okolicznych wsi schodzili się, niektórzy już tańczyli i śpiewali przy dźwiękach gęślików, mazanków i fujarek. Nad kilkoma ogniskami piekły się smakowicie pachnące udźce, a pilnujący ich ochotnicy orzeźwiali się piwem oraz syconym miodem, czerpanym z wkopanych w ziemię glinianych stągwi. Osadom położonym w lasach nigdy nie brakowało miodu, używanego do placków, leków i wyroby napojów. Niektórzy z mieszkańców, tacy jak ojciec Miłosi, czynili nawet ze zdobywania miodu i wosku główne źródło dochodów.

Między ogniskami siedział sędziwy Ziemomysł i wróżył chętnym z dymu, unoszącego się po wkruszeniu do przyniesionego z chramu żaru suszonych ziół. Miłosia podeszła do niego za przykładem innych dziewcząt. Zawsze trochę bała się Ziemomysła. Odkąd pamiętała, był zgizybiałym staruszkciem, obleczonym w ceremonialną szatę, z długą brodą i siwymi jak mleko włosami, rozpuszczonymi po pas. Biły od niego tajemniczość i siła, w ogóle nie pasująca do tej kruchej starości. Teraz jednak ciekawość przeważała. Bardzo chciała dowiedzieć się czegoś o tym, co ją czekało.

Gdy podeszła, żerca uniósł na nią zaczerwienione od ciągłego kontaktu z dymem oczy.

— Witaj, Miłochno od Bartnika — zaszemrał. — Chcesz pewnie wróżby? Zobaczmy, co cię czeka.

Pokropił palenisko odrobiną wody ze świętego źródła i wzrucił do niego garść ziół. Nad ledwo tłącym się żarem uniósł się kłęb silnie pachnącego dymu. Kapłan przypatrywał mu się pilnie i ściągał krzaczaste brwi, poruszając bezgłośnie ustami.

— I co? — Spytała nieśmiało dziewczyna. Ziemomysł potrząsnął głową.

— Gdy puścisz na wodę swój wianek, idź za nim — powiedział. — Dokądkolwiek popłyynie, idź za nim i nie spuszczać go z oczu.

— Nie rozumiem.



— Ja też nie. Ale to twoja wróżba, nie moja. Przepowiednię trzeba przyjąć taką, jaka jest, duchy ją zsyłają, nie ludzie.

— Odsuń się, my też chcemy wróżby! — zawołała niecierpliwie Nawojka od Owczarzy, najładniejsza i najbardziej zarozumiała panna w Samborowie. Jej właściwie wróżba nie była zbyt potrzebna, wszyscy wiedzieli, że zaraz po żniwach wyjdzie za syna kołodzieja, ale pchała się do kapłana na równi z innymi.

Miłosia odeszła, zmieszana i zdezorientowana. Ma iść za swym wiankiem? Zwykle wzucony do wody był wyławiany przez któregoś z wolnych chłopców i tyle. Czy to miało znaczyć, że ma bez protestu przyjąć tego, który złapie jej wianek? Może, ale coś jej mówiło, że nie chodzi o to. Całkiem straciła humor, usiłując rozgryźć tę zagadkę. Nawet tańce i wspólne śpiewy nie potrafiły jej rozchmurzyć. Miodu ani piwa na wszelki wypadek nie tknęła, poprzestała na odrobinie wody z rzeki, którą popiła kawałek pieczonego mięsa.

Wreszcie nadeszła pora wrzucania wianków do Bystrej. Dziewczęta zbiegły nad rzekę, ze śmiechem i żartami odpinając po drodze kwiatowe opaski z rozpuszczonych włosów. Jeden po drugim lądowały na falach, a czyhający nieco dalej kawalerowie próbowali wyławiać upatrzone zakrzywionymi kijami. Właśnie ze względu na nich dbano, by wianki różniły się między sobą. Zdobiono je paprocią, młodymi gałązkami jodeł albo kawałkami barwionej wełny. Macocha Miłosi wplotła między kwiaty szeroką wstążkę z obszycia swej ślubnej sukni, powiązaną w misterne zawijasy, nie było więc obawy, że dziewczyna pomyli swój wianek z innym. Nie pomyliłby go również jej ukochany – gdyby go miała. Tymczasem prawda wyglądała tak, że na razie nikt się o Miłosię nie starał, choć była ładna, pracowita i z szanowanego rodu. Jakoś nie przyciągała męskich oczu, być może przez swą niezwykłą błądź i wiotkość sylwetki. Takie jak ona uważano za niezdatne do pracy, podatne na choroby, czasem nawet posądzano o bycie „rusawką” lub córką złośliwego samowity, ewentualnie dzieckiem boginki z lasów, podzruconym w zamian za porwanego noworodka. Wyjątkowo śmiałe boginki potrafiły zabrać i starsze dziecko, zostawiając na jego miejscu bełkoczącego nieskładnie odmieńca. Zgodnie ze zwyczajem bito takie dzieci bizozowymi różgami, by kizykiem zwabiały prawdziwą matkę, która zwracała wtedy porwane, a zabierała swoje. To znaczy, czasem tak się działo, a czasem nie. Wiele podzuteków zostawało wśród ludzi. Często umierały wskutek brutalnego traktowania, a te, które przeżyły, przeważnie wyrastały na słabowite i uważano je za gorsze od reszty dzieci. Panna przypominająca „boginiaka” nigdy nie miała powodzenia i nic dziwnego. Najwyżej przecież ceniono rumiane dziewczęta o szerokich biodrach i pełnych piersiach, przeciwieństwa delikatnej Miłosi. Mogła dziękować bogu Rodowi i opiekuńczym bożętom, że dali jej za macochę kobietę ciepłą, o dobrym sercu i kochającą dzieci. Nigdy nie obciążała pasierbicy pracą nad miarę, dobrze traktowała i karmiła nie gorzej niż własnych synów. Gdyby osierocona przez matkę dziewczynka trafiła na taką kobietę jak na przykład Strzegma, żona bednarza, pewnie nie dożyłaby swych czterestu lat.

Ociągając się nieco, Miłosia wyciągnęła z włosów szpilki i rzuciła wianek do rzeki, między inne. Musiał trafić akurat na główny nurt, bo natychmiast popłynął z biegiem rzeki, oddalając się od ognisk. Ruszyła za nim, starając się zgodnie z nakazami wróżby, nie stracić go z oczu w ciemności, rozświetlonej tylko księżycem i gwiazdami. Wianek płynął szybko,



nie dość szybko jednak, by nie mogła za nim nadążyć. Śledząc go, zapomniała o wszystkim, pochłonięta swoim zadaniem. Dopiero, gdy nurt rzeki z nagłą przyspieszył i wianek znikł za ostrym zakrętem, zatrzymała się i rozejrzała. Była teraz bardzo daleko od okolic, które знаła, wśród prastarych drzew... w Niedźwiedziej Puszczy. Zadrżała, śmiertelnie przerażona. Nigdy jeszcze się tu nie zapuściła, nie śmiała by zresztą, ale bardziej nawet niż znalezienie się w tak groźnym miejscu przeraził ją zielonkawy blask, sączący się zza zakrętu, gdzie znikł jej wianek. Z trudem zmusiła się, by oderwać stopy od ziemi i pójść dalej, rozglądając się za nim.

Gdy tylko minęła zakręt rzeki, przystanąła w zdumieniu. Znalazła się na niewielkiej polanie, zalanej silnym, choć jednocześnie łagodnym światłem. Na drugim brzegu rzeki, owinięty wokół czerwonego głazu, spoczywał zwinięty olbrzymi wąż. Jego łuskowaty grzbiet zdobiły złożone skrzydła, a na płaskim, kołyszającym się lekko na boki łbie widniał wianek Miłosi. Pysk węża nie był zwyczajny, w nieuchwytny sposób przypominał oblicze człowieka. Wąskie, skośne oczy, czarne jak bezgwiezdna noc, patrzyły na dziewczynę z powagą, niemal po ludzku. Drżąc z przerażenia Miłosia skłoniła się do ziemi.

— Witaj, potężny Żmiju — wychrypięła przez ściśnięte gardło. Od razu wiedziała, że to musi być on, opiekun zasiewów i opadów, czasem przyjazny ludziom, a czasem złośliwy. Cemu ją tu sprowadził? Bo przecież nie wątpiła ani przez chwilę, że zrobił to celowo.

— Witaj, dziecko — zabrzmiął sykliwy głos w odpowiedzi. — Okazałaś dziś litość małej żmii, mojej przyjaciółce. W nagrodę dam ci trzy rady.

Miłosia nie odrywała oczu od Żmija. Zawsze bała się gadów, nawet nieszkodliwych jaszczurek grzejących się w słońcu nad rzeką ale on wydała się jej piękny i fascynujący. Pomyślała, że już nigdy nie będzie się bać węży, nawet tych jadowitych.

— Po pierwsze, wróciwszy do swej wioski, pójdz do świątyni i uprzedź kapłana, że wkrótce przybędą do was wysłannicy nowego boga. Będą mieli ze sobą znak podobny do runy ognia, tylko z prostymi ramionami. Oni sami są nieszkodliwi, ale za nimi zjawia się Niemi Jeźdźcy i w imię ich boga zniszczą wszystkie świątynie i posągi starych bóstw. Nie będziemy mogli przeciwstawić się ich dziełu.

— To straszne! Ich bóg jest taki zły i groźny?!

— Nie on, a jego wyznawcy. Dysponują mocą, przeciw której nic nie poradzimy. Z czasem wygonią nas wszystkich i zniszczą to, co nas przypomina, by ludzie zapomnieli. Niech kapłan powierzy ci ofiarowany waszej wiosce bursztyn, a ty zanieś jak najgłębiej w Niedźwiedzią Puszczę. Kieruj się wizerunkami Trygława, rzeźbionymi na żywych dżewach. One zaprowadzą cię na miejsce, skąd kiedyś wykopywano kizemień. Wrzuc bryłę w wyrobisko, a potoczy się w głąb ziemi. Jak długo będzie tam spoczywać, tak długo przetrwa tu pamięć o pradawnych bogach i tradycjach.

Miłosia otarła łzę rękawem sukni.

— Zrobię to.

— Teraz druga rada: gdy z powodu Niemych Jeźdźców znajdziesz się w ogromnym niebezpieczeństwie, odetnij swój warkocz nożem i rzuć na ziemię.

— Dlaczego?

— Przekonasz się, dziecko. I ostatnia rada: gdy będą cię gonić, nie uciekaj w las, tylko na pole twoich braci. A to pokaż kapłanowi na dowód, że mówisz prawdę.



Żmij pochylił głowę i wyrwał sobie z boku łuskę. Rzucił ją przez rzekę. Miłosia wyciągnęła odruchowo rękę i chwyciła wirujący w powietrzu przedmiot. Miał kształt liścia brzozy, był dłuższy niż dłoń dziewczyny, lekko wypukły i błyszczał wszystkimi barwami tęczy. Gdy wpatrzyła się w niego, oczarowana, nagle wszystko zawirowało, a dziewczyna znalazła się przed chramem Mokosz. Siedzący na progu zerca poderwał się.

— Miłochna! — krzyknął. — Skąd się tu wzięłaś? Myśmy cię już opłakali.

Dziewczyna rozejrzała się niepewnie.

— Już jest jasno?

— Co „już jest jasno”? Nie było cię trzy dni! Trzy dni! Myśleliśmy, że napadło cię jakieś dzikie zwierzę. Gdzie się podziewałaś?

— Długo by mówić — Miłosia podeszła do Ziemomysła na chwiejnych nogach. — Muszę cię o coś prosić, kapłanie. Oddaj mi święty bursztyn.

— Co takiego?!

— Muszę go ukryć przed Niemymi Jeźdźcami i wysłannikami nowego boga. Tak nakazał mi Żmij.

— Dziecko — kapłan spoważniał jeszcze bardziej niż przedtem, wydawał się wręcz przerażony. — Nie wolno mówić takich rzeczy dla płochego żartu.

— To nie żart. Mam dowód — wyciągnęła rękę i pokazała lśniąca w słońcu niczym kawałek tęczy łuskę. — Nowy bóg wypędzi wszystkich starych. Trzeba ratować pamięć o nich, a jeśli ukryję bursztyn, pamięć nie zginie.

Ziemomysł z wahaniem wziął do ręki łuskę. Oglądał ją przez chwilę, póki nie doszedł do wniosku, że żadna ludzka ręka nie mogłaby wykonać czegoś tak wspaniałego i niezwykłego. Wreszcie skinął głową z widocznym bólem.





— Dam ci bursztyn — rzekł. — Może mimo wszystko bym ci nie uwierzył, ale widziałem wystanników nowego boga we wróżebnej misce. Nie powiedziałem nikomu, ale czekają nas ciężkie opresje. Przybywają razem z Niemymi Jeźdźcami i nikt ich nie powstrzyma. Nasze czasy przemijają, wkrótce nadejdą nowe rządy. Ja jestem stary, nażyłem się i śmierć mi nie straszna, ale boleję nad młodymi, którym przyjdzie zginąć.

— Przyjdzie?

— Widziałem całe jeziora krwi. Wróżebna misa jeszcze nigdy mnie nie zwiodła.

Zniknął w chramie i wkrótce wyszedł, trzymając w rękę bryłę bursztynu zawiniętą w delikatne płótno.

Droga do wskazanej przez Żmija kopalni trwała długo i gdyby nie nakaz boga, Miłosia nigdy nie odważyłaby się wejść tak głęboko w Niedźwiedzią Puszcę. Teraz jednak wiedziała, że jest pod szczególną opieką i nie bała się ani trochę. Choć słyszała wycie wilków i porykiwanie niedźwiedzi, a raz nawet ujrzała stąpającego ciężko tura, przedzierającego się przez zarośla, nie czuła lęku. Nic złego jej nie spotkało, jedynie włosy musiała zapleść w ciasny warkocz, żeby nie chwytaty za nie gałęzie. Również drogę powrotną przebyła bezpiecznie, chroniona przez moc Żmija. Opuściwszy niedźwiedzią Puszcę i dotarłszy z biegiem Bystrej do Samborowa, pożałowała jednak, że nie została ze zwierzętami pośród drzew.

Wieś płonęła. Bojowe okrzyki zmieszane z jękami konających i wołaniami o pomoc raniły uszy. Pomiędzy podpalonymi chatami uwijali się zbrojni jeźdźcy, mordując walczących z nimi mężczyzn i chwytając na arkany uciekające przed nimi kobiety. Na tarczach napastników Miłosia dostzegła znak, w samej rzeczy przypominający *swargę*, runę ognia, tylko wyciągający proste ramiona na cztery strony świata. Przepowiednia Żmija spełniała się szybciej, niż sądził Ziemomysł.

Jeden z jeźdźców dostzegł dziewczynę w białej szacie i zwrócił ku niej swego konia. Przerażona Miłosia odwróciła się i zaczęła uciekać. Trudno jednak pieszemu zbiec przed koniem. Niemy dogonił ją, krzyknął coś i przechyliwszy się w siodle, chwycił za powiewającą w powietrzu warkocz. Miłosia wrzasnęła z przerażeniem. Usłyszała tuż za uchem świst noża, kątem oka ujrzała, że cisnął ją Godzimir, zakrwawiony, ledwie trzymający się na nogach, ale wciąż walczący. Upadła, straciwszy równowagę. Jeździec cisnął na ziemię odcięty warkocz dziewczyny i ponownie ruszył ku niej. Jednak jego koń stanął dęba i rozpaczliwie zarżał. Splecione włosy załśniły i przemieniły się w ogromnego węża, który wyprostował się jak struna i rozdziawił szeroko pysk, ukazując spływające jadem kły, godzące prosto w twarz konnego napastnika. W powietrzu rozległ się niepodobny do niczego syk.

— Uciekaj! — wrzasnęła Godzimir. Jego ciało skurczyło się nagle, porastając szarobrązowymi łuskami, podobnie jak ciała żywych i martwych mieszkańców wsi. Na pobojuwisku zaroilo się od gadów, a każdy z nich miał na głowie rdzawą plamę w kształcie serca. Miłosia pozbierała się z ziemi i nie czekając na ciąg dalszy, ponownie rzuciła do uciezki. Nie mogła pomóc nikomu, mogła jedynie spróbować zbiec... dokąd? Do lasu?

— Na pole twoich braci — przypomniała sobie trzecią z rad Żmija. Skręciła w stronę uprawnej ziemi. Ukrycie się w dojrzewającym zbożu było niemożliwe, zwłaszcza jeśli jeźdźcy go podpalą, co zwykle robili, ale w głowie śmiertelnie przerażonej dziewczyny kołatały wciąż



słowa wężozształtnego bóstwa. Potykając się ze zmęczenia, dotarła na skraj łąny. Za sobą słyszała tętent kopyt, goniło ją przynajmniej kilku Niemych, nie miała jednak już siły uciekać. Nadjeżdżali szeroką tyralierą, wyraźnie chcąc ją otoczyć. Upadłaby, gdyby nagle nie zjawił się przed nią kolejny jeździec. Wyglądał zupełnie inaczej niż tamci. Siedział na białym koniu bez siodła i kantaru, odziany w białą szatę, a na jego lśniących niczym promienie słońca włosach widniał wieniec z kwiatów i kłosów żyta. Chwyciwszy Miłosię za rękę, wciągnął ją na grzbiet konia, na oczach zdumionych jego nagłym pojawieniem się najeźdźców.

— Ojcie Perunie, pomóż nam! — krzyknął głosem gromu, a wtedy z jasnego nieba runął na ziemię deszcz cielnych piorunów, kładąc trupem wszystkich w polu widzenia.

— O dobry Jaryło... — szepnęła Miłosia. Bóg wiosny i miłości zawrócił swego ruma-ka, który pomknął ponad łąkami, nie muskając nawet kopytami nabrzmiątych kłosów. — Dobry Jaryło, co będzie teraz z moimi? Czy Niemych nie można pokonać?

— Tylko ludzie mogą pokonać ludzi — odpowiedział Jaryło, kierując swego konia w nieznaną. — A bogowie jedynie im pomagają. Czasami też ludzie są pomocni w walce bogów przeciwko bogom. Twój bliscy stali się wężami i są teraz pod opieką Żmija, jednak walka dopiero się zaczyna i my ją przegramy.

— Mocarny Żmij mi obiecał, że pamięć nie zaginie.

— I nie zaginie. Dzięki tobie. Jesteś dobra i odważna, a twoja wiara zjednała sobie naszą życzliwość — boski młodzieniec pogłaskał dziewczynę po obciętych włosach, aż poczuła, jak do jej głowy wlewa się żar, dający niezwykłą moc. — To nie nowy bóg będzie teraz waszym wrogiem, a jego wyznawcy, którzy inaczej mówią, a inaczej postępują. Żeby przetrwać, musicie być mądrzy, silni i nad wszystko, nad bogactwa, władzę i życie stawiać waszą ziemię. Ty już to umiesz, teraz będziesz nauczać innych.

— Ja? Jestem słaba i sama na świecie...

— Masz w sobie dość siły, a za swe dobre serce i wierność pradawnym bogom otrzymasz nagrodę. Czeka cię wielka, wieczna sława. Staniesz się matką twego narodu.

Żar w głowie Miłosi nasilił się tak, że dziewczyna nie mogła go już znieść i zemdląta, tracąc jakikolwiek kontakt ze światem.

— Hej, obudź się! Obudź. Skąd się tu wzięłaś?

Napływający jakby z bardzo daleka głos skłonił Miłosię do otwarcia oczu. Zaraz też jej przymrużyła, bo słońce jasno świeciło i nie mogła teraz znieść jego blasku. Leżała na trawie, wśród kwiatów, a nad nią pochylał się młody mężczyzna, prawie chłopiec, pewnie niewiele starszy od niej. Miał na sobie znoszoną sukmanę, a kręcone, brunatne włosy sięgały szerokich ramion. Z wyrazu jego miłej, tchnącej uczciwością twarzy można było odczytać, że jest zachwycony swym znaleziskiem.

— Gdzie jestem? — szepnęła. Usiadła, dotykając dłonią bolącej głowy. Włosy miała obcięte kizywo tuż nad karkiem, piękną niegdyś suknię brudną i poszarpaną przez kolce kizewów. Musiała przedzierać się bezdrożami, choć nie potrafiła sobie teraz przypomnieć tej drogi. Młodzieniec usiadł obok niej i przygryzł zerwane źdźbło trawy.

— Pod Gniezmem. To ziemie księcia Popiela, aż do jeziora Gopło. Niedaleko stąd jest chata mego ojca. Skąd się tu wzięłaś? Nigdy cię wcześniej nie widziałem.



Miłosia zastanowiła się.

— Pamiętam tylko, że uciekałam przed kimś — wybąkała słabo. — To byli jeźdźcy z mieczami i tarczami. Spalili moją wieś. Nie wiem, jak tu dotarłam.

Młodzieniec skinął głową poważnie.

— Tu też byli, ale ludzie księcia ich przepędzili. Aleś ty piękna. Jak się nazywasz?

Miłosia zastanowiła się, a potem bezradnie pokręciła głową.

— Nie wiem. To dziwne, ale naprawdę nie pamiętam.

— Musieli uderzyć cię w głowę — młody człowiek nie odrywał od niej zachwyconych oczu. — Jaka ty jesteś śliczna... Nie masz dokąd pójść, prawda?

— Chyba nie...

— To chodź ze mną. Zostań moją żoną, a będziesz znowu mieć dom.

Miłosia roześmiała się mimo bólu łupiącego pod czaszką.

— Nawet mnie nie znasz. Ani ja ciebie. Kim ty jesteś?

— Mój ojciec uprawia kawałek ziemi dla księcia, a ja terminuję u księżęcego kołodzieja. Kiedyś postawię własny warsztat, gdzie będę budować wozy. Mam na imię Lestek, ale wszyscy mówią mi Piast, bo na razie to tylko wyrabiam piasty do kół. A ciebie znać nie muszę. Wystarczy spojrzeć, by wiedzieć, że jesteś słodka i dobra. Chodź, przedstawię cię ojcu.

— Wygoni mnie — zakryła twarz rękami. — Nie pamiętam swego imienia, pomyśli, że jestem opętana przez złe duchy. Tylko tacy przecież zapominają swych imion. I nie mam nic, zupełnie nic, tylko gołe ręce. Po co komu taka synowa?

— Ależ co ty! Mój ojciec, Jaromir Oracz, jest najlepszy na świecie i nie dba o to, by dziewczyna była bogata. Zobaczysz, że nie zrobi ci krzywdy. Miałem jeszcze mamę, ale zmarła na zarazę. Będzie już pięć lat.

Chwycił Miłosię za rękę silną dłońią, stwardniałą od ciężkiej pracy i pomógł jej wstać, a potem pociągnął za sobą. Poddała się jego autorytetowi, bo też co miała robić? Nie skłamała, naprawdę z jej pamięci ulotniło się prawie wszystko i czuła się, jakby przybyła z zupełnie innego świata, wiedziała jednak, że nie ma dokąd wracać ani dokąd pójść. Ten miły chłopak był jej jedyną ostoją.

Gdy wbiegli razem do skromnej chaty, starszy kmieć odwrócił się od paleniska, nad którym wisiał kociołek z bulgoczącą polewką i zastygł z drewnianą chochlą w dłoni.

— Witaj, panie ojcze! — zawołał Piast, kłaniając się z szacunkiem rodzicielowi. — Pamiętasz, jak mówiłeś, że powinienem się już ożenić? No to chcę ci przedstawić swoją przyszlą żonę.

Jego ojciec patrzył na nich oboje ze zdumieniem, choć bez nieufności. Był sterany życiem, posiwiały, ale z jego oczu rzeczywiście wyglądała życzliwość dla całego świata. Łatwo można było uwierzyć, że to to dobry i łagodny człowiek.

— A skąd ją wziąłeś, synu? Nie jest stąd, znałbym ją.

— Uciekła przed Niemymi Jeźdźcami. Spalono jej wieś, nie ma nikogo na świecie.

— Ach tak — starszy człowiek podszedł i pogłaskał Miłosię po głowie. — Biedne dziecko. Jak ci na imię?



Spojzała na Piasta, szukając jego pomocy.

— Ma na imię... Rzepica — skłamał chłopak gładko. — Tak samo jak moja matka. Możesz szykować weselisko, ojczu.

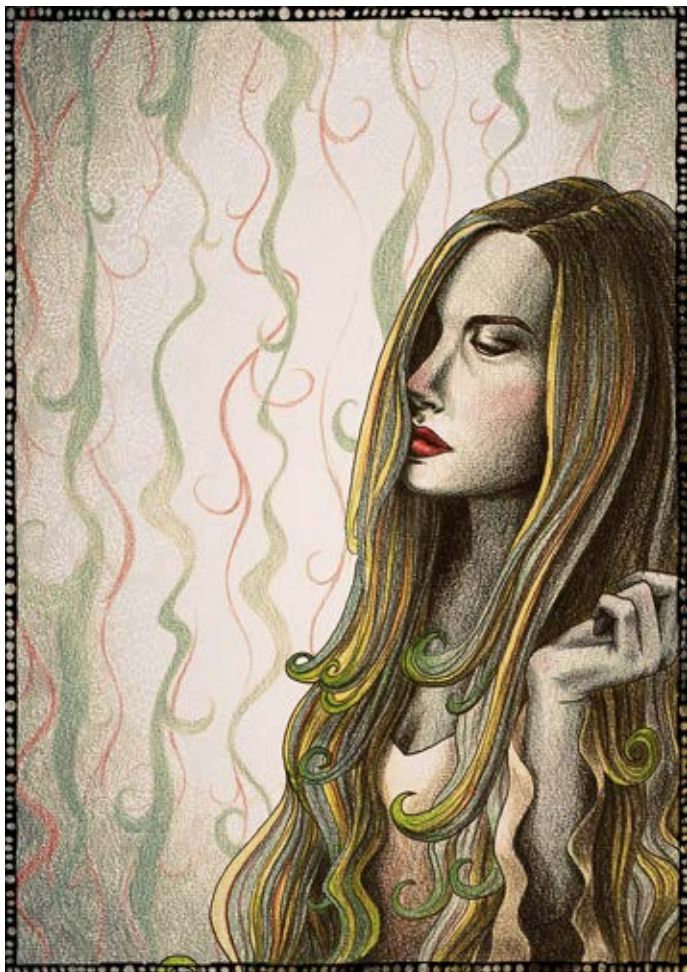
Jaromir Oracz roześmiał się dobrotliwie.

— Najpierw trzeba będzie zawiadomić kapłana i złożyć ofiarę, głuptasie. Na razie zaś zjemy obiad. Rzepka na pewno jest głodna. Siadajcie do stołu, dzieci.

— Za chwilę, dobry gospodarzu. Obmyję tylko twarz przy studni — powiedziała Miłosia i dygnęła grzecznie, spuszczając przy tym oczy, tak jak nakazywał dobry obyczaj.

Musiła koniecznie wyjść choć na chwilę. Odkąd odzyskała przytomność, czuła że coś ją uwiera pod gieźlem i nie wiedzieć skąd, miała pewność, że musi ukryć to przed wszystkimi.

Studnia znajdowała się za chatą. Nikt nie widział, gdy dziewczyna rozplątała tasiemkę pod szyją i wyciągnęła zza gieźła drażniący przedmiot. Była to większa niż jej dłoń, wężowa łuska, tęcząca w słońcu niewiarygodnie pięknymi barwami. Miłosia wykopała rękami dołek pod ścianą chaty i ukryła w nim swój skarb, starannie zasypując go ziemią. Dopiero potem obmyła twarz i dłonie, i wróciła do izby, gdzie czekała na nią nowa rodzina. ❧





FANTASY SŁOWIAŃSKA ALBO ZŁA REPUTACJA

Kiedy myślę o fantasy słowiańskiej, przychodzi mi do głowy rodzaj nieśmiałego rebelianctwa. Coś pomiędzy założoną niegrzecznością a zupełną porażką. W pierwszym odruchu nie rozpatruję tej fantasy w rejonie literackich czy kulturowych poszukiwań, choć tak właściwie należałoby ją odczytywać. Nie pamiętam o jej zakorzenieniu w tradycji i wyciąganiu na światło dzienne zapomnianych słowiańskich wierzeń. Myślę o jakimś nieudanym desancie myśli, czy próbach ich zaistnienia. Myślę o pełzającej, cichej, rozciągniętej na lata klęsce. Bo choć pojawiło się wiele książek, które naturalnym czytelniczym rozpoznaniem nazwiemy fantasy słowiańską (fs), to nie istnieje ona jako oficjalny podgatunek literacki. Nie doczekała się miejsca space opery, urban fantasy czy steampunka. Jest odmianą odmian, szemranym skupiskiem tekstów i nie ma tu arcydzieł, ani kanonicznych dzieł, od których można się uczyć, literacko odbić, pisać w kontrze; które należałoby dogłębnie zbadać, przemyśleć, wpisać do kanonu. Pozostaje jej więc powolne pełzanie, ciche bycie w nisy, nieśmiałe kontestowanie. A jeśli już kontestowanie z przytupem, to żenujące w swojej propagandowej formie.

Myślę też o fantasy słowiańskiej jako o tej, która utraciła reputację, nie zdążywszy jej nabyć. A stało się to na samym początku, u zarania dziejów, w roku 1992, kiedy pierwsze nieśmiałe próby pojawiania się tej odmiany ujrzały światło dzienne. Zostały wówczas brutalnie znokautowane przez esej Sapkowskiego *Piróg albo Nie ma złota w Szarych Górach¹*, w którym autor

autorytatywnie orzekł, że fantasy słowiańska to istne „pirogi”, czyli teksty ludyczne, przasne i niestrawne w czytaniu. Być może miał rację, być może tak należało ocenić te pierwsze teksty fs, które się wówczas ukazały. Rafał A. Ziemkiewicz wydał *Skarby Stolínów*, w których próbował zestawzić swoją miłość do J.R.R. Tolkiena i jakieś elementy parasłowiańskie, nie znając tradycji naszej starej kultury. Wyszło więc nudno, przasnie i protolkienowsko. Potem archeolog Artur Szejter nafaszerował swoje opowiadania fantasy detalami historycznymi z epoki wczesnych Piastów, bo pragnął przede wszystkim cieszyć się nowo uzyskaną wiedzą, która go zachwycała. Jak każdy student, który odkrywa, że nauczyciel historii nie powiedział mu wszystkich tych naprawdę interesujących rzeczy. I do tego Konrad Lewandowski ze swoją serią o Kotołaku, gdzie strzygi i inne upiory budowały scenierię strachu w heroic fantasy.

Nie ma zatem sensu zaprzeczać, że mało przychylna ocena Sapkowskiego, nowego rozwijającego się dopiero podgatunku (czy odmiany) wynikała z kiepskich tekstów, z którymi się zapoznał. Ale nie można zapominać, że drugim filarem tego negatywnego nastawienia autora *Piroga* do mitologii słowiańskiej w literaturze fantasy była słaba znajomość starej kultury. Wiele tu też hipokryzji autora, który zdegustowany przasnością kultury prapolskiej, sam się w tej pretensjonalnej wersji ludowości lubuje, nie mając widać innego pomysłu na rodzimą kulturę i mitologię w sadze wiedźmińskiej.

¹ Esej ukazał się w „Nowej Fantastyce” w maju 1993 r., choć został napisany przez Sapkowskiego

w grudniu 1992 r. W wersji elektronicznej, dostęp [10.11.2014]; <http://sapkowski.pl/modules.php?name=News&file=article&sid=205>



Choć całymi garściami czerpie z celtyckich wzorów i postaci, germańskiego Ragnaröku, legendy arturiańskiej, to nie dotyka mitu słowiańskiego inaczej niż w wizji zgrzebnych przysiółków i wioskowych dziadów, albo grozie strzygi czy leszego. I nie czerpie wiedzy bezpośrednio z folkloru czy tekstów naukowych, ale z baśni. Wszak pierwszy pomysł na opowiadanie to transfiguracja gatunkowa starej bajki ludowej o księżniczce zamienionej w strzygę, zapisanej przez Romana Zmorskiego. Jego droga do znajomości kultury słowiańskiej jest pokrętna i kończy się intertekstualną grą, nie dlatego, że tej kultury nie ma, ale dlatego że jej nie zna.

Sapkowski w swoim artykule nie wspomina też o wydanej na przełomie lat 80. i 90. serii *Dagome iudex* Zbigniewa Nienackiego². Prawdopodobnie dlatego, że nie zalicza jej do fantastyki. Istotnie genologicznie dyskusyjne jest, czy trylogia Nienackiego to tekst fantastyczny. Mitopoetyczny tak, a nawet pornograficzny – jeśli możemy użyć tu takiego uproszczenia. Ale czy to fantastyka, skoro nie jest tak definiowany przez czytelników fantastyki? A może nie pojawia się, bo nie pasuje do koncepcji Sapkowskiego młodej fantastyki słowiańskiej, gdzie *przańnie i kraśnie, jurnie, żurnie, podpiwkowo i Inianie*³. Cokolwiek zdecydowało o braku wzmianki u Sapkowskiego o powieściach Nienackiego, nie pozwoliło jednocześnie na zestawienie ze sobą tekstów początkujących pisarzy z dojrzałym twórcą, którego dzieło mogło się podobać bądź nie, ale zostało napisane z poszanowaniem reguł

gry. Nienacki bowiem sięgnął do mitu założycielskiego świadomie i wsparł się dodatkowo stanem badań aktualnym w połowie lat 80. Niestety niezauważony reputacji fantastyki słowiańskiej nie zbudował.

Patrząc na kolejne lata rozwoju odmiany gatunkowej, wydawać by się mogło, że taka miażdżąca krytyka zupełnie wyeliminuje jakiekolwiek próby pisania fantastyki słowiańskiej. Skoro najważniejszy pisarz fantastyki ośmiesza publicznie ten rejon literackich poszukiwań, to nikt poważny się nim nie zainteresuje. I tak się stało. Choć jednocześnie zszargana opinia podziałała na niektórych młodych twórców ambicjonalnie. A może wcale nie przywiązali uwagi do opinii autora sagi o wiedźminie? W przeciągu kolejnych 10 lat powstało wiele opowiadań słowiańskiej fantastyki. Jakby negatywna reklama otworzyła worek z nowymi motywami, które można wykorzystać. Na przykład, zupełnie nie w nawiązaniu do eseju, pojawiła się w 1994 roku powieść fantastyki Marty Tomaszewskiej *Królowa niewidzialnych jeźdźców*⁴, gdzie strzygi były co prawda groźne, ale pojawiały się jako czarownice. Autorka czerpała wiedzę o nich z ludowej wizji pośmiertnych demonów. Rok później Maria Dorota Kowalska wyciągnęła z ludowego lamusa postaci chmurników i płanetników⁵, nie krwawe i niegroźne, a samo opowiadanie drążyło temat ludowego pojęcia obcego i obcości. W 1998 r. Dorota Terakowska wydała powieść dla młodzieży rozgrywaną na styku dwóch kultur, budując słowiańską wersję Królowej Śniegu⁶. Była też opowieść o końcu poprzedniego

² Cykl Zbigniewa Nienackiego *Dagome iudex* składa się z 3 części: *Ja, Dago* (1989), *Ja, Dago Piastun* (1989) i *Ja, Dago Władca* (1990); II wydanie ukazało się w roku 1994 pod zmienionym tytułem *Historia sekretna*; III wydanie – jednotomowe pod zbiorczym tytułem *Dagome iudex* – opublikowano w roku 2009, a w 2014 ukazał się e-book.

³ *Ibidem*.

⁴ M. Tomaszewska, *Królowa niewidzialnych jeźdźców*, Warszawa 1994.

⁵ M. D. Kowalska, *Jeszcze dalsze nieba*, „Fenix 1995”, nr 1.

⁶ D. Terakowska, *Samotność bogów*, Kraków 1998.



20 tysiąclecia Tomasza Bochińskiego⁷, bardziej historyczna niż słowiańska fantasy, czy *Czorty* Piotra Patykiewicza⁸, góralska wersja wędrówki drużyny. Ale żadne z tekstów nie było przełomem, może poza przyzwoicie napisaną *Samotnością bogów* Terakowskiej, która jako pisarka dla dzieci i młodzieży zdołała wejść ze swoją powieścią do kanonu lektur gimnazjalnych. Ale czy czytelnik fantastyki zapytany o powieść Terakowskiej powie, że to fantasy słowiańska? Nie sądzę.

Przełom wieku przyniósł kolejne opowiadania i zbiory opowiadań oraz pierwsze programowo napisane powieści fantasy słowiańskiej. Maciej Salamończyk zaskoczył swoim stylizowanym na sagę opowiadaniem o drodze do Nawii⁹. Sukces książek Neila Gaimana, a szczególnie *Amerykańskich bogów* zainspirował polskich twórców do pisania urban fantasy. Michał Studniarek i Krzysztof Kocharński¹⁰ pokusili się by rozpisac swoje powieści w oparciu o rodzimą demonologię.

Potem pojawił się Paweł Rochala z mistycznym słowiańskich obrzędów¹¹ a romantyczne inklinacje w cyklu opowiadań prezentował Sławomir Mrugowski¹². Każdy szukał swojej drogi, poetyki, problematyki, jakiegoś swojego klucza na odniesienie się do tematyki słowiańskiej. W końcu w roku 2007 w peł-

ni słowiańską fantasy o rozpadzie państwie napisał Rafał Dębski¹³, a w 2013 powieść o Miecławie – Witold Jabłoński¹⁴. Cykl Jabłońskiego doczekał się kontynuacji w wydanej w roku 2015 powieści *Ślepy demon. Sieciech*. Te trzy powieści są też fantasy historyczną, odnoszą się do konfliktu kulturowego, obyczajowego i religijnego, jaki zainicjowało przyjęcie chrześcijań-



Paulina Śliwa

stwa w państwie Piastów. Choć powieść Terakowskiej też dotyka tego tematu – robi to w sposób uniwersalny, nie pojawiają się u niej żadne postaci historyczne, a nawet jest tam wiele nieścisłości w nomenklaturze bóstw.

Jak widać musiało upłynąć wiele czasu, by pisarze z pewnym dorobkiem, jak Rafał Dębski czy Witold Jabłoński, zdecydowali się na sięgnięcie po „temat słowiański”, a mimo

⁷ T. Bochiński, *Koniec tysiąclecia*, „Fenix” 1995, nr 10.

⁸ P. Patykiewicz, *Czorty*, „Fenix” 1996, nr 3.

⁹ M. Salamończyk, *Kłtwa Stoigniewa*, Nowa Fantastyka 2003, nr 7.

¹⁰ M. Studniarek, *Herbata z kwiatem paproci*, Warszawa 2004; K. Kocharński, *Baszta czarownicy*, Warszawa 2003.

¹¹ P. Rochala, *Bogumił Wiślanin*, Warszawa 2005.

¹² S. Mrugowski, *Stuzgonia*, Lublin 2012.

¹³ R. Dębski, *Kiedy bóg zasypia*, Lublin 2007.

¹⁴ W. Jabłoński, *Słowo i miecz*, Warszawa 2014.



to wynik ich pracy też nie jest w pełni zadowalający. Ani *Kiedy bóg zasypia*, ani *Słowo i miecz* nie były książkami przełomowymi, ważnymi literacko, istotnymi dla rozwoju podgatunku. Za taki tekst można uznać jedynie *Bogumiła Wiślanina* Pawła Rochali, choć to też wydaje się dyskusyjne, ponieważ wydany przez Świat Książki nie zaistniał w szerokiej świadomości czytelników fantastyki.

Jako krytyk cały czas zastanawiam się, jakie miejsce w polskiej fantazy zajmuje fantazy słowiańska i dlaczego jest ono na końcu peletonu. Może u źródeł leży prosty, ale jakże znaczący fakt, że pisanie tego rodzaju fantazy wymaga od autora znajomości mitologii. To przecież siła tej konwencji, źródło jej atrakcyjności. Żeby zrozumieć „ducha epoki”, żeby posługiwać się nazwami mitologicznymi trzeba jednak się wdrożyć, obłożyć lekturami, poznać temat. Nie znamy przecież swojej mitologii, nie uczymy się jej w szkole, jest nam zupełnie obca poza pewnymi zwyczajami ludowymi, które ostały się w kulturze jako relikty wierzeń. I które są przez nas często traktowane z lekkim pobłażaniem. Dlatego autorzy chcący stworzyć fantazy słowiańską muszą obrać jedną z dwóch strategii. Pierwszą z nich jest poważne czy wręcz nabożne traktowanie historii religii słowiańskiej. Przekopują się przez wznowienia średnio-wiecznych kronik¹⁵, naukowe opracowania Gerarda Labudy, Aleksandra Gieysztorza czy Leonarda Pełki. Jakby żywili przekonanie, że polski czytelnik potrzebuje nie tylko fantazy, ale też wiedzy podanej w atrakcyjnej formie. I to wiedzy skrupulatnie sprawdzonej. Jakby ich fantastyczny tekst miał służyć także celom dydaktycznym, w których autorzy stawali się przewodnikami po świecie mitu słowiańskiego. Dla czytelników pierwszych

opowiadań Szejterera desygnaty demonologiczne (kłobuki, wieszczy) czy imiona bogów (Weles, Świętowit) istotnie stanowiły obce imaginarium. Dlatego zasada „bawić i uczyć” dotycząca opowiadań z lat 90.¹⁶, stała się zaproszeniem do świata egzotycznej, choć autochtonicznej kultury. Takie podejście powoduje jednak nieznośny wręcz dydaktyzm, zauważalny zwłaszcza w pierwszych tekstach. Choć rozumiem przyczynę i decyzję twórczą, to jednak nadmierne przyjęcie postawy „muzealnego przewodnika” po dawnej kulturze niszczy w zarodku możliwość napisania dobrego tekstu literackiego.

Spadkobiercą takiego myślenia, z lżejszym podejściem do powołania, jest Michał Studniarek i jego powieść z 2004 roku *Herbata z kwiatem paproci*. Dzięki wprowadzeniu w latach wcześniejszych mitologicznej nomenklatury, oswojeniu z nią czytelników, Studniarek mógł w roku 2004 zagrać z konwencją słowiańskiej fantazy i umieścić swoich mitycznych bohaterów w futurystycznej przestrzeni. Podobnie uczynił Krzysztof Kochański ze swoją *Basztą czarownic* z roku 2003. Choć zakładali, że czytelnik rozpozna postaci z mitologii, zdecydowali się wprowadzić, mniej lub bardziej dyskretnie, opisy istot nadprzyrodzonych. Na szczęście nie zachwiało to logicznym porządkiem powieści, bo mit był tylko częścią wykreowanego świata. Ale spowodowały pewną nienaturalność i zauważalną intencyjność.

Odmienne sytuacja wyglądała u Pawła Rochali i Witolda Jabłońskiego, którzy położyli nacisk na treści mitologiczne. Rochala, tworząc świat przedstawiony, nie dbał o to, czy czytelnik zna nazwy, symbole, obyczaje,

¹⁵ Helmolda, Herborda, Adama z Bremy czy przywołanego wyżej Sako Grammatyka.

¹⁶ Poza Szejterem, Lewandowskim czy Ziemkiewiczem, Zmierzech Urbana, *Czorty* Patykiewicza czy *Jeszcze dalsze nieba* Kowalskiej.



22 a jako autor bawił się wiedzą historyczną i schematami przedstawiania w fantasy mitologii słowiańskiej. Prawdopodobnie nieświadomie grał z przyzwyczajeniami odbiorcy i wypracowaną już w pewnym stopniu konwencją. Dlatego w jego powieści inaczej niż dotychczas podchodzi się do mitu, a zamiast grozy strzyg i nieumarłych jest mistycyzm, podróż bohatera do Nawii i obrzędy przejścia. Jabłoński z kolei postanowił napisać słowiańską heroic fantasy z wędrówką drużyny do zaświatów i wielką wojną rozstrzygającą o lasach świata, jednocześnie szpikując powieść treściami historycznymi i mitologicznymi, które tylko wyjątkowy wielbiciel tematu (albo badacz) jest w stanie rozpoznać w pełni. Klasycznym przykładem wykorzystania tekstu historycznego w materii literackiej jest *Demon z Arkony* Adama Miszczaka¹⁷, w którym praktycznie zbeletryzowano zapis Saxo Grammatyka, traktujący o zdobyciu grodu i zniszczeniu świątyni. Miszczak zrobił to bez zbędnej ideologii, w pierwszoosobowej narracji, czyniąc chłopca przewodnikiem po świecie dawnych Słowian, jednocześnie skrupulatnie przestrzegając tego, co Saxo zapisał w swojej kronice. Gdyby zdecydował się na powieść, być może byłaby to pierwsza dobrze napisana książka w tej odmianie gatunkowej, gdzie materia literacka dominuje nad aspektami pozaliterackimi, a obecna w tekście historia zrównoważona jest przez ciekawie zarysowane postaci, dynamikę akcji i ciekawe rozwiązanie fabularne.

Tych, którzy traktują mit słowiański z powagą, równoważą ci, którzy z ogólnej jego nieznamomości uczynili atut, pozwalający im na nieskrępowane fantazjowanie. Aby pobudzić wyobraźnię sięgają po teksty

¹⁷ A. Miszczak, *Demon z Arkony*, „Nowa Fantastyka”, nr 2, 2011.

Czesława Białczyńskiego¹⁸, który dla badaczy religii słowiańskiej jest kimś w rodzaju „barbarzyńcy w ogrodzie”, bo w swoim leksykonie *Stworze i zdusze* wiele stworzył i zdusił w zarodku poszanowanie dla stanu nauki polskiej w kwestii mitologii słowiańskiej. Ale jego twórczość inspiruje wielu autorów fantasy i nie ma co do tego wątpliwości. Drugim takim tekstem jest wypis z rozważań filozofa religii z połowy XIX wieku, Bronisława Trentowskiego, opublikowany przez Tadeusza Linknera jako *Słowiańskie bogi i demony*. Wiele w tym tekście autentycznego zaangażowania autora w odkrycie nieznanych i zaniedbanych obszarów kultury, fascynujących przecież romantyków. Wiele też jednak chaosu wczesnej nauki, bezkrytycznego podejścia do wszystkiego, co się w ludowych bajaniach pojawia. Do twórczej lektury Trentowskiego/Linknera przyznał się wprost Michał Krzywicki w nocie końcowej *Plag tej ziemi*¹⁹. Lekturę Białczyńskiego i Linknera widać też wyraźnie w opowiadaniach Dariusza Domagalskiego z cyklu „ORP Orzeł”. O ile wyznawcy naukowego poszanowania mitu słowiańskiego męczyci swym zacięciem dydaktycznym, o tyle ci, którzy odwołują się do wyobraźni Białczyńskiego, się z tym mitem rozmijają. Pytanie czy mają prawo pisać, co im się żywnie podoba, wprowadzać postaci mitologiczne i mieszać ich kompetencje, wymyślać demony, tworzyć nowe demonologie? Odpowiedź na nie jest też naszym opowiedzeniem się, czym jest dla nas mitologia słowiańska i czym jest fantasy?

¹⁸ Cz. Białczyński, *Stworze i zdusze*, Kraków 1993; idem, *Mitologia Słowiańska. Księga Tura*, Kraków 2007.

¹⁹ *Ze słowiańskiej mitologii wziąłem tylko, co potrzebne. Przede wszystkim cenię sobie pozycję Tadeusza Linknera Słowiańskie bogi i demony, która komasuje to, co Bronisław Trentowski wniósł do wyobrażeń na temat słowiańskich wierzeń*. Za: M. Krzywicki, *Od autora, [w:] Plagi tej ziemi*, Warszawa 2008.



Mitologia słowiańska jest dla wielu sama w sobie fantastyką. Czy to tylko zbiór starych dziwnych przypowieści czy część kultury? Czy fantasy to literatura czy zabawa, czy wpisuje się w jakiś dyskurs literacki, mody, trendy, czy też jest w pełni rozrywkowa?

Czy można w ogóle odpowiedzieć na pytanie, czym i jaka jest fantasy słowiańska? Na pewno bardziej zafascynowana grozą słowiańską niż jej mistyką. To droga łatwiejsza, bo demonologia została już rozpoznana, zdomowała się, istnieje w arsenale fantastycznego bestiariusz. Mistyka natomiast wymaga inteligencji, delikatności i pewnej kondycji psychicznej i duchowej u twórcy. I talentu. A niewiele utalentowanych autorów fantastyki chce pisać fantasy słowiańską, jakby bali się lub przeczuwali, że to trudniejsze niż się wydaje, że bardzo łatwo można polec na tym polu i stworzyć coś co się jednak z czasem nie obroni. Ci natomiast, którzy się na nią decydują,

grzeszą często brakiem dystansu do tematu, lekkości, pomysłu. Jakby czuli się do czegoś zobowiązani, mieli ocalić od zapomnienia, zrehabilitować, upowszechnić mit słowiański. Jakby poza artystyczną wizją poczuli się do spełnienia obowiązku, na który czekają czytelnicy. Co jest samo w sobie błędnym założeniem, bo narzuca ich powieściom jakieś ideologiczne ramy, sprowadzając na

artystyczne manowce. Pomimo wielu prób i poszukiwań, których odmówić pisarzom nie zamierzam, wciąż pokutuje w nich brak odwagi artystycznej lub brak dostatecznego talentu, by dotknąć wątku słowiańskiego inaczej, pełniej, niesztampowo. Bez tych wiecznych strzyg czających się na skrajach lasu, bez wąpiery, smętnych topielic, patetycznych Świętowitów i złych Welesów. Z dystansem, ironią, z przetworzeniem potencjału mitycznego na materię metaforyczną, może retellingowa, jak Mrugowski w swoich pierwszych opowiadaniach, wykorzystując *Balladynę Słowackiego*. Wciąż brak kogoś takiego jak Marion Zimmer Bradley z jej *Mgłami Avalonu*, czy Catherine M. Valente z *Nieśmiertelnym*.

Więc może to prawda, że Sapkowski swoim tekstem o Pirogu przetrzącił kręgosłup potencjalnym twórcą fantastyki słowiańskiej i zadowolony utwierdza się w przekonaniu, że miał rację. Ale może jest też

tak, że my, czytelnicy i miłośnicy też się do tej pełzającej kłęski przyczyniamy, bo nie wymagamy od twórców dobrych tekstów. Zadowolamy się czymkolwiek i chwylimy, jeśli tylko na kartach pojawia się Świętowit czy Perun. Nasza postawa wygłodniałego odbiorcy przeszkadza nam stawiać warunku: piszcie lepszą fantastykę słowiańską! Może czas już to zmienić? ❖



Paulina Śliwa

tak, że my, czytelnicy i miłośnicy też się do tej pełzającej kłęski przyczyniamy, bo nie wymagamy od twórców dobrych tekstów. Zadowolamy się czymkolwiek i chwylimy, jeśli tylko na kartach pojawia się Świętowit czy Perun. Nasza postawa wygłodniałego odbiorcy przeszkadza nam stawiać warunku: piszcie lepszą fantastykę słowiańską! Może czas już to zmienić? ❖



DZIEŃ DEGUSTACJI

— Chyba już można? — wyszeptał z nadzieją Lech.
— Jak dla mnie, to powinno jeszcze siły nabierać — wyraził swą wątpliwość Rus.
— Pewnie i tak to psiejstwo jest już na tyle mocne, że głębę wykrzywi — zawyrokował Czech.
— Młody ma rację; a mnie już członki bolą od mieszania tej bryji — jęknął Lech.
— Daj, to ja pokręcę, a ty se odpocznij — zaproponował Czech.
— Dobra już, moi mili! — z mocą oznajmił Rus — Morda mi już całkowicie zaschła; polewamy!
— Dyc nie całkiem gotów przecie — zaprotestowali pozostali bracia.
Jednak średni zanurzał już drewnianą chochlę w głębinach kadzi. Nie chcąc być gorszymi ani pokrzywdzonymi — Lech i Czech sięgnęli również po swoje cebrzyki.
Upłynęła jednostka czasu w przyszłości nazywana kwadranssem.
Lech, Rus i Czech siedzieli sobie wygodnie, acz nieco bezwładnie, na zmurszałym pniu nad leniwie snującą się rzeczką Psią Strużką. Za nimi dopalało się ognisko pod wielką miedzianą kadzią (pamiętającą czasy rzymskie i Bursztynowy Szlak); przed niepożądanymi gośćmi cały nadrzeczny cypelek był odgradzony niewielką palisadą okrytą choinowymi gałązkami.

Yng' Aps-3864-Q jako forpoczta ruszył w kierunku Trzeciej Planety. W całym tym układzie ona chyba najbardziej nadawała się do kolonizacji. Płynna woda jest o wiele przyjemniejsza do życia niż ciekły metan — a do tego była to woda występująca już na powierzchni, nie zaś pod grubą warstwą lodowych pokryw. Jednak jego rasa, pomna doświadczeń z innych światów, zapisała wyraźnie w procedurach inwazyjnych, że wizja lokalna jest zawsze niezbędna: zbyt wiele przykrych niespodzianek bywało w przeszłości! Cała flota pozostała na orbicie. Natomiast jego statek, wbiwszy się w azotowo-tlenową atmosferę, powoli skierował się w kierunku rozległych puszc...

— Jeszcze cała moc w tym się nie przebudziła, ale zawsze lepsze i zdrowsze to niżli woda z Psiej Strużki czy kozie mleko — westchnął z wyraźnym ukontentowaniem Rus.
— Nie mówię, że nie lubię; ale chyba wolałbym posmakować czegoś cieńszego — rozmarzył się Czech.
— Gadacie, braciszku! W sam raz jest przecie — czknął radośnie Lech. Po dłuższej chwili dodał: — Aż widzę cosik błękitnego na niebie. Nie jest to chmurka. I leci ku mnie!
— Milsze to niż stada białych myszek, które zwykle prześladowają kuzyna Popiela — wymamrotał z zamkniętymi oczami Czech.
— Na Swaroga, toż naprawdę jakoweś paskudztwo ku nam leci! — wżasnął Rus.
— Latawiec? — wystraszył się Czech.



— Musi nie, toć te paskudy jeno po nocy ludzi prześladują... — zaczął tłumaczyć Lech.

Głos mu jednak uwiązał w gardle, gdyż niewielki pojazd wylądował właśnie u ich stóp. Wyszedł zeń, jakby przenikając przez ścianę, wysoki na raptem jeden łokieć zielony ludzik. „Upirz? Strzygoń? Nocnica?” — pomyśleli przerażeni bracia. „Niemożliwe, boć wszystkie te utrapieństwa jednako do nocnych stworów należą”

Yng' Aps-3864-Q, zgodnie z procedurami rozpoczynającymi inwazję, zaczął od zacerpnięcia tutejszego powietrza. W pełni nadawało się do absorpcji przez multimetabolizm jego rasy; czuł też, jak jego superprzeciwiactwa rozprawiają się z lokalnymi mikroorganizmami.

„Nie jest źle” — pomyślał; zwrócił też uwagę na fakt, iż stojący przed nim tubylcy, aczkolwiek potężnego wzrostu, są jacyś nieruchawi i ospali – sprawiają wręcz wrażenie nieco otępiełych.

Wiedział, że haust tutejszej atmosfery czują już w swych organach oddechowych wszyscy członkowie floty czającej się wokół Trzeciej Planety.

Przeszedł do kolejnego punktu procedury: zebrał się w sobie, by za chwilę wykrzywić swój otwór gębowy w nieszczerym uśmiechu...

— Siedzmy jak siedzimy, to może nas nie zauważy i se pójdzie — zaproponował szeptem Czech.

— Lepiej przeskoczyć przez płot i... — zaczął Lech.

— Nie wiesz, na kogo napadłeś! Jestem największy i najsilniejszy! Nigdy i nijak mi nie podołasz! — wrzasnął nagle, mający w sobie największą dawkę samogonu, Rus.

Wtedy stało się coś niespodziewanego: zielony stworek uśmiechnął się na całą szerokość swej wrzecionowatej głowy. A był to uśmiech wyjątkowo serdeczny i ujmujący – wręcz hipnotyzujący.

— Rus, nie wrzeszcz na niego! Toć to jakieś miłe stworzenie jest!

— Od początku mówiłem, że nie będzie tak źle...





— Dobra, już milczę! To pewnikiem żaden demon. Licho jedno wie, cóż to takiego. Ale on faktycznie milusi jest. I chyba nas lubi. Trzeba go zaraz ugościć po starosłowiańsku!

Yng'Apr-3864-Q był zachwycony. Te nieporadne olbrzymy zaraz poczęstują go swoim pokarmem. Jeśli i on okaże się dopasowywalny – można będzie dać sygnał do ataku.

Jeden z tych zarośniętych dzikusów już podchodzi do niego z ogromnym naczyniem. Ta karma jest w płynie; tym lepiej – od ewolucyjnej utraty uzębienia minęły wszak eony...

Auuu!!! Ogień, ogień, płomienie, reakcja jądrowa i termojądrowa razem wzięte! Hiperpaliwo kosmicznych spodków w porównaniu z tym czymś byłoby balsamem! I do tego to dziwne uderzenie do głowy, które wraz z pieczeniem poczuli nagle wszyscy piloci floty inwazyjnej...

Zwiadowca poczuł coś jeszcze. Tak! Flota zawraca. Zawraca – i pędzi na oślep w bezkresną czerń kosmosu. A pojedynczy osobnik jego gatunku skazany jest niechybnie na szaleństwo i zagładę.

„Nie zostawiajcie mnie! Nie zostawiajcie! Muszę szybko wskoczyć do statku i pomknąć za nimi. Może ich jeszcze dogonię. Mam szansę, mam szansę... Start!”

— Uciekł... Mówiłem wam, że ten napój jest przesadnie mocny.

— Raczej za słaby – i ten maluch obraził się po tak kiepskim ugoszczeniu!

— A ja wam mówię, że nasz samogon był w sam raz. On odleciał, my jesteśmy. Polewamy?

Inwazyjne statki oddalały się od Ziemi z prędkością podświetlną. Tymczasem bimber pozwoli rozchodzić się po trzewiach i umyśle nie tylko Yng'Apr-3864-Q, ale wszystkich pilotów całej floty. Rozchodził się – i po pierwszym szoku zaczął przynosić coraz przyjemniejsze doznania. Doznania zarówno fizyczne, jak też psychiczne. Czyżby to coś było jednak dopasowywalne? Po dłuższej chwili zastanowienia w umysłach Yng'Apr-3864-Q i jego towarzyszy pojawiła się nowa i zaskakująca myśl: „Ta dziwna karma nie jest taka zła. Mam ochotę na jeszcze. Zawracamy!” I cała bojowa flotylla ruszyła z powrotem z prędkością niewiele mniejszą od światła. Dopiero minąwszy gazowe giganty wyhamowali zgodnie z procedurą przygotowań do inwazji.

Medialny nius o nagłym pojawieniu się w okolicach Jowisza mnóstwa nieznanymi obiektów pędzących wprost w kierunku północnej półkuli Ziemi został początkowo skutecznie zagłuszony przez telewizyjne relacje z powitania w kolejnych stolicach nowego roku 2017. ❏



KAROLINA KACZKOWSKA ROZMAWIA Z WITOLDEM JABŁOŃSKIM

NIE MAMY SIĘ CZEGO WSTYDZIĆ

W ostatnich latach wzrosła popularność wierzeń słowiańskich, w dużej mierze dzięki Pana twórczości literackiej. Skąd u Pana zainteresowanie tym tematem? Co sprawiło, że uznał Pan motyw słowiański za inspirowane i atrakcyjne literacko?

Mitologia słowiańska jest, póki co, w przeciwieństwie do greckiej, celtyckiej i skandynawskiej, jeszcze stosunkowo najmniej wyeksploatowana. Dlatego między innymi postanowiłem po nią sięgnąć. Lubię przemierzać nowe, rzadko uczęszczane szlaki... Tworzenie fantazy historycznej jest łatwiejsze od pisania „twardej” fantazy i zarazem trudniejsze. Łatwiejsze, bo nie trzeba wymyślać świata od A do Z, można dotrzeć do różnych źródeł, opracowań itp. Trudniejsze, bo zawsze istnieje ryzyko, że kreując tło historyczne, nie unikniesz jakiegś, chociażby drobnej „wpadki”, której nie omieszkają wytknąć Drodzy Czytelnicy. Zarazem jednak nasycenie opowieści elementami fantastycznymi osłabia realizm historii i pozwala bardziej oswobodzić wyobraźnię. Coś takiego zrobiła przecież Marion Zimmer-Bradley w *Mgłach Avalonu* – na tło niby historyczne rzuciła dzieje legendarnych postaci. Podobnie postąpił David Gemmell w znakomitej trylogii *Troja*. Tego typu powieści były dla mnie prawdziwym objawieniem i zainspirowały do stworzenia fantazy słowiańskiej, gdzie również na konkretnym tle historycznym występują na poły baśniowi bohaterowie. Takie połączenie gatunków wydaje mi się ciekawe i ożywcze w stosunku do trochę już skostniałej w schematach klasycznej fantazy. W otwierającej cykl (umownie nazwany

przez wydawcę „Słowiańską Apokalipsą”) powieści *Słowo i miecz* starałem się nawiązać do tego typu poetyki i stworzyć rodzimy, pogański mit, który byłby alternatywą dla narzuconego nam siłą chrześcijaństwa. Świat słowiański nie jest u mnie, jak w dawniejszej polskiej literaturze, naiwnie prząsny, pocziwy i infantylny. Mam nadzieję, że udało mi się stworzyć odpowiednio „gotycką” atmosferę, mieszaninę tajemniczości i grozy, deminizmu i okrucieństwa. Moja historia bardziej przypomina dark fantasy.

Czy napisanie *Słowa i miecza* oraz *Ślepego demona* wymagało wielu przygotowań: studiowania tekstów źródłowych itp.?

Przeczytałem wszystko, co było aktualnie dostępne na temat opisywanej epoki, czyli tzw. „reakcji pogańskiej”. Były to jednak czasy ogromnego zamętu i niewiele zachowało się źródeł, prawdopodobnie też wiele zostało zniszczonych. Siłą rzeczy zmuszeni jesteśmy opierać się na tendencyjnych opisach chrześcijańskich kronikarzy (ruskich, czeskich, niemieckich), pragnących maksymalnie zożydzić i zdeprecjonować bunt pogan oraz np. postać Miecława, z którego nasi kronikarze (zwłaszcza Kadłubek) uczynili zdraycę i buntownika. Historię zwykle piszą zwycięzcy, nic dziwnego więc, że nasze rodzime „pogaństwo” przedstawiano w jak najczarniejszych barwach, bądź z pogardliwym lekceważeniem (co świetnie opisała Maria Janion w *Niesamowitej Słowiańszczyźnie*). Podobnie czyniła literatura, choćby Kraszewski (*Masław*) czy Bunsch (*Bracia, Bezkrólowie*). Zawsze opisywano ten okres z punktu widzenia zagrożonego



28 na naszych ziemiach chrześcijaństwa, nigdy bezwzględnie niszczonego pogaństwa. Ujarzmiana Słowiańszczyzna była tam przedstawiona jako anarchiczna *dzicz*, którą dopiero chrześcijaństwo ucywilizowało, ujęło w karby i nadało określone formy, m. in. państwo-woje. Stworzono absurdalny mit, jakoby Polska powstała dopiero za sprawą chrztu Mieszka I. A co było wcześniej? Czarna dziura i prostaczekowie biegający po lasach? Ciemność, którą rozświetlił nam dopiero rzymski krzyż, jak to kiedyś ujął Andrzej Sapkowski? Uznałem, że najwyższy czas odkłamać tę historię, ukazać ją oczami obrońców rodzimej wiary, przydając im też pewne racje moralne i intelektualne. Oddać sprawiedliwość przegranym. Oparte na nikłych podstawach hipotezy współczesnych badaczy są często powierzchowne i wzajemnie przeczące. Ma to jednak dobrą stronę: mając do czynienia z tak niejasnym i zagmatwanym okresem naszych dziejów, można sobie stworzyć własną koncepcję wydarzeń, uzupełniając niedostatek wiedzy twórczą fantazją.

Jakie źródła poleciliby Pan osobom chcącym poszerzyć swą wiedzę o słowiańskich wierzeniach?

Podstawą jest oczywiście *Mitologia Słowian* Aleksandra Gieysztora i nowsze opracowanie tematu, *Religia Słowian* Andrzeja Szyjewskiego. Bardziej dociekliwych odsyłam do bibliografii zamieszczonej na końcu *Słowa i miecza*, życząc ciekawej lektury.

Spotkałam się ze stwierdzeniem, że z wierzeń Słowian obecnie na siłę robi się mitologię na kształt greckiej, a w rzeczywistości brakuje dowodów na to, że był to uporządkowany system religijny. Czy zgodzi się Pan z tym stwierdzeniem?

Absolutnie nie. Taki zabieg nie jest niczym nowym, uczynił tak już Jan Długosz, przyrównując bóstwa słowiańskie do wzorca najlepiej sobie znanego, czyli grecko-rzymskiego panteonu. Późniejsi (XIX–XX w.), likwidatorsko nastawieni naukowcy (np. Bruckner), podważali to porównanie, wskazując na różnice kulturowe i geograficzne, niektórzy sugerowali wręcz, że nasz kronikarz sobie te bóstwa zmyślił. Nowsi badacze przyznają jednak rację średnio-wiecznemu uczonemu: w końcu świat politeistyczny w obrębie Europy wykazywał znaczne podobieństwa, na co zwracali już uwagę Rzymianie, podbijając kolejne „barbarzyńskie” ludy. Wszędzie był jakiś patriarcha zbrojny w piorun, jakiś bóg wojny z toporem, a także bożek lasu, wiośniana boginka miłości, dojrziała bogini urodzaju, kojarzona z Matką Ziemią itp. Bóstwa „pogańskie” uosabiały bowiem pierwotne żywioły natury, zyskując z czasem także ludzkie cechy i charakter. Podkreślali ten fakt tak wybitni badacze jak James Frazer (*Złota gałąź*) czy Georges Dumezil (*Bogowie Germanów*). W świetle współczesnej komparatystyki takie porównania są więc jak najbardziej uzasadnione. W odniesieniu do religii politeistycznych nie ma jednak mowy o czymś takim jak „uporządkowany system religijny”. Charakterystyczną cechą wszelkich znanych mitologii (nawet tych dokładnie zbadanych i opisanych, jak grecko-rzymska lub celtycka) jest bowiem płynność i różnorodność przeplatających się wzajemnie wątków, postaci, motywów. Nie istnieje żaden „kanoniczny” (jak np. w Biblii) obraz mitów, lecz dopuszczalne są ich rozmaite wersje i warianty, a co za tym idzie, także możliwość różnorodnych interpretacji. Z natury rzeczy mamy więc do czynienia z delikatną, wielowarstwową tkaniną, niebędącą z pewnością religijnym monolitem. Zbiorem opowieści, które należy traktować swobodnie, ale także ostrożnie. Życie „poganina” jest,



w odróżnieniu od judeochrześcjanina lub islamisty, życiem bez kanonu i bez dogmatów. Dzięki ustaleniom nowożytnych mitografów zdolni jesteśmy jednak wyodrębnić nici przewodnie tego wielobarwnego kobierca i ułożyć z nich w miarę sensowną całość. Właśnie do dumezilowskiej teorii podziału boskich „funkcji” nawiązał prof. Gieysztor, tworząc spójną i przekonującą koncepcję słowiańskiego pan-teonu. Szyjewski z kolei skupił się bardziej na słowiańskiej wizji świata i filozofii życia. Obie te prace doskonale się uzupełniają, nie pretendują jednak do tworzenia kanonicznego obrazu rodzimej wiary. Zachęcam do lektury tych dzieł, ułatwiają bowiem swobodniejsze poruszanie się w gąszczu niepełnych i niepewnych danych, jakimi dysponujemy. Polecam także *Drzewo* Łukasza Wierzbickiego, zbiór rodzimych mitów i baśni, w przystępny i atrakcyjny sposób przybliżający młodemu czytelnikowi świat naszych bogów.

Ma Pan jakieś ulubione motywy czy postaci ze słowiańskich mitów? Czy pojawiły się one na kartach pańskich powieści?

Jako że *Słowo i miecz* od początku była pomysłana jako słowiańska dark fantasy, w jej fabule na plan pierwszy wysunęły się bóstwa mroczne, bóstwa chaosu i śmierci, których jednak w żadnym wypadku nie należy utożsamiać z chrześcijańskim światem absolutnego Zła. Dla naszych przodków, podobnie jak innych „pogan”, światy Jasności i Ciemności toczyły bezustanną walkę, ale także wzajemnie się dopełniały, nie mogąc istnieć bez siebie i tworząc wspólnie Wszechświat. Najciekawszą postacią był dla mnie Weles, kojarzony także z pomorskim Tryglawem. Był on panem świata umarłych, zwanego Nawią, ale też bogiem magii, tajemnic, zagadek i przysiąg oraz pasterzy (stąd bycze rogi

na jego głowie) i kupców, zapewniającym dostatek. Opiekował się także pieśniarzami i bazarzami, zsyłając im twórcze natchnienie. Urzekła mnie także bogini Mokosza, Matka Żyznej Ziemi, którą przedstawiłem (nieco w duchu celtyckim) w troistym wcieleniu: Dziewanna (wiośniana dziewica), Żywia (płodna matrona) i Marzanna (zimowa starucha). W mojej interpretacji bywa po kobiecemu kapryśna i nieobliczalna, lecz zarazem po macierzyńsku opiekuńcza i przyjazna ludziom. Fascynujący był Chors, mroczny bóg księżycowy, patron nocnych zmór, upiorów i wilkołaków. Na opowieści o „jasnych” bóstwach, jak Perun albo Swarozyc, znajduję więcej miejsca w kolejnych tomach.

Na czym, według Pana, polega wzrost atrakcyjności wierzeń naszych słowiańskich przodków? Czy to kwestia zachłyśnięcia się nowością, pewnej mody, wyraz buntu wobec kościoła katolickiego czy może jeszcze co innego?

Odpowiedź kryje się w pytaniu. Kluczem jest słowo „naszych”. To doprawdy tragiczna sprawa, że przeciętny Polak więcej wiedział dotychczas o mitach greckich albo celtyckich, a wykazywał niemal kompletną ignorancję w kwestii rodzimej mitologii. Winę za to ponosił między innymi wadliwy system edukacji, polegający na wielowiekowym wykorzenianiu własnych przedchrześcijańskich tradycji na rzecz triumfującego od tysiąca lat katolicyzmu. Jak to określił wybitny słowianofil Zorian Dołęga Chodakowski: „kształcąc się na wzór obcy, staliśmy się na koniec sobie samym cudzymi”. Nasi bogowie mają nad innymi tę właśnie przewagę, że są nasi, nie importowani. Zniszczono ich świątynie, porąbano posągi, zlikwidowano lub przetworzono obrzędy na ich cześć, a jednak



30 przetrwali w zbiorowej podświadomości i co za tym idzie w największym skarbie każdego narodu, jakim jest własna narracja, literatura. Nie potrzebują wcale bogatych świątyń ani skomplikowanych rytuałów. Ich prawdziwą świątynią jest cała otaczająca nas przyroda (dlatego Chodakowski nawoływał: „Wpatrzmy się tylko w ziemię naszą. Może Słowianie zostawili ją dla nas jako najtrwałszą księgę...”) i ludzka wyobraźnia. Wobec postępującego procesu zacierania się granic kulturowych i politycznej integracji krajów europejskich, coraz silniejsza rodzi się w nas potrzeba sięgnięcia do swojskich korzeni i odnalezienia w nich własnej słowiańskiej tożsamości. Sukces wydawniczy *Słowa i miecza* świadczy, że powieść spełniła oczekiwania wielu czytelników, panował bowiem ogromny głód takiej tematyki.

Jak ocenia Pan wartość mitologii słowiańskiej jako polskiego „towaru eksportowego” (np. za sprawą gry komputerowej o Wiedźminie) w obrębie popkultury? Czy wierzenia słowiańskie mają szansę dorównać w popularności np. greckim i wzbogacić światową tradycję literacką?

Najwyższy czas wyzbyć się wmawianego nam od wieków kompleksu niższości i „niepełnowartościowości” naszej kultury. Cieszy fakt, że dzięki grom komputerowym czy przekładanym na inne języki utworom, świat słowiańskich mitów, demonów i baśniowych stworów zostaje przybliżony zachodniemu odbiorcy, dla nas jednak powinien mieć drugorzędne znaczenie. Ten właśnie prowincjonalny kompleks kazał nam bezustannie „dorównywać” dziełom szeroko rozumianego Zachodu. Obecnie, gdy od 26 lat jesteśmy jego częścią, nie ma

już takiej potrzeby. Wiedza, jaką ostatnio zyskujemy, uświadamia nam, że nie musimy nikomu dorównywać, bo nie mamy się czego wstydić. Najważniejsze jest, abyśmy sami dobrze znali własne korzenie i byli z nich dumni, wtedy również doceni nas świat.

Słowo i miecz oraz Ślepy demon cieszą się dużym powodzeniem wśród czytelników. Możemy spodziewać się kontynuacji?

Pracuję obecnie nad *Zbigniewem*, drugą częścią *Ślepego demona*. Jak zwykle w moich utworach główną postacią jest kolejny bohater wyklęty: mroczny i odrzucony starszy syn Władysława Hermana. Czytelnicy wiedzą, że lubię takie postaci i ich niezwykłe perypetie, bo pozwalają spojrzeć na nasze dzieje z odmiennej, dla mnie ciekawszej i odświeżającej perspektywy. Tom powinien być ukończony u progu tegorocznego lata, ponieważ jednak prace nad nim się opóźniły, trudno orzec w tej chwili, czy ukaże się już w tym roku. Nie zależy to przecież ode mnie, lecz od planów wydawnictwa i jego strategii marketingowej. Wierni fani cyklu będą się więc musieli uzbroić w cierpliwość. O postępach prac będę informował na bieżąco na fejsbukowej stronie cyklu „Dawni bogowie wracają”. W perspektywie najbliższych lat jest jeszcze ostatni tom, zatytułowany *Wyklęta krew*, ukazujący walki o władzę między dziedzicami piastowskiego tronu a Sieciechem i dopowiadający historię Zbigniewa aż do tragicznego końca, który zresztą do dzisiaj owiewa mgłą tajemnicę.

W takim razie czekamy z niecierpliwością. Dziękuję za rozmowę! ❧



ANNA MUSIAŁOWICZ

DUSIOŁEK

Dusiołek śmierdział. Cuchnął okrutnie. Jak końskie łajno wdeptane w zgniłą trawę. Jak zbruk w ścianę domu wmurowany. Jak ser spleśniały. Jak syry niemyte. Jak krowia kupa na podmokłej łące. Fetor był tak dokuczliwy, że nawet spałe muchy, nazarte gównem za dnia, pobudziły się podniecone zapowiedzią kolejnej uczt.

Włókł się Dusiołek polem, coraz bardziej zmęczony, bo się zgubił. Nawet miesiąc w pełni nie oświetlał drogi tak, by Stwórca odnalazł właściwy trakt. Krótkie nogi ledwo co utrzymywały ciężar rzygi Dusiołka. Dupsko zmory, szarozielone, lśniło w blasku księżyca, gdzieś tam odbijając światło zbłąkanej gwiazdy. Lico jego nieszczęsne było. Wargi niby spuchnięte, powykrzywiane w grymasie złośliwym, nos spłaszczony jak u świni. Oko jego – to drugie – najbardziej wyłupiaste, zalało się łzami. To trzecie od dni kilku ropą zalepione było. Pierwszego nie posiadał. Wieki temu wydziobała mu je wrona, z głodu wśród śniegów kracząca. A że w owym czasie Dusiołek, zmęczony nocnym polowaniem na śpiących, nie zdążył się przed świtaniem w opar mgły zamienić, toć ptaszysko uraczyło się żółtym ślepiem jego jak pierwszej klasy mięsem.

Szedł Dusiołek przez pole zmęczony i wspominał swe najprzedsze czasy. Jak miał dźwżyć krtanie mężczyzn śniących nie o swych połowicach, lecz żon bliźnich pożądających, gruchotał gardła chłopów śniących o przelaniu krwi brata swego za ojcowiznę, śniących o koniach, co je spod gospody pańskiej zabrać chcieli. Myślał o tych, co się Panu Jezusowi pod kzyżem kłaniać nie chcieli, co bimber nad swe dziatki stawiali, co roboty stawiać nie chcieli. Siadał takim na piersi, łapskami za szyję chwycił i ścisnął, ścisnął, ścisnął grdykę, aż nie pobudzili się, by ostatniego tchu zacerpnąć. Myślał Dusiołek o dzieciach, które matki wieczorem piastowały, przed zmorą nocną przestzegając. Opowiadały matule baśnie i legendy, nakazując swym pociechom, by paciorek odmówiły, co by złego odegnać. Lecz to nie paciorek chronił maluczkich, lecz matek czuwanie. Gdy Dusiołek rozsiadał się na małym cieple, starając znaleźć miejsce dla swej dupy, a oddech dziecka stawał się płytszy, budziła się matula i odganiała dłońią złe sny sprzed oczu dziecka, a przy okazji rzucała Dusiołka na klepisko. Bolało wtedy obite dupsko Dusiołka. Bo choć dla dzieci swych rękę najdelikatniejszą matka miała, dla Stworza dłoń ta twarda, mocna, niczym z żelaza ukuta była.

Szedł Dusiołek polem, coraz bardziej swój tyłek w ziemi nurzając, nogi gięły się pod nim, lecz łepetynę wciąż wysoko trzymał, wspominając swe przeświecne czasy, gdy pieśni o nim śpiewano, wiersze recytowano, gdy o nim pamiętano. Każdy znał zwyczaj Dusiołka paskudne, każdy bał się, co by go za grdykę Stworz nie capił, toż mandragorą skrapiano koszule, po nocach prędeż korzenia szukając, co by lichu złe odpędzić. Lecz znał już Dusiołek, że czasy jego minęły. Światła lamp zabrały blask gwiazdom, że dnia od nocy nie odróżnisz, toć i mgłą się stać się nie umiał. Wszelakie zdolności jego ze zmieniającymi się czasami odeszły. Nie trza takich stworów w nowym świecie, nikt Dusiołka się nie stracha, nikt nie wspomina, nikt przed nim nie broni. Jeno smród się ostał i ciągnie się za nim przeraźliwy, aż jak złe lichu Dusiołka kamieniami sprzed domostw odpędzają.



32 Ale nie dusi już nikogo, bo łapska ma na wpół bezsilne, niezdolne do miażdżenia. Wiara i strach ludzisk umacniały moc jego i siłę. Potężny wtenczas był Dusiołek. Lecz pół wieku, wiek, dwa minęły, a oddechu nikomu już nie zabrał, nawet na pierzynę gówna nie narobił. Smucił się Dusiołek, zapomniany, po polu w blasku miesiąca błądzący.

Marek Biegański wracał z imprezy. A raczej próbował skoordynować ruchy swych nóg, by kroki w odpowiedniej kolejności stawały i w stronę domu się kierowały. Lewa, prawaaawa, lewa, praaaawa.... W głowie wciąż mu dudniało basowe umcy-umcy-umcy. Miał wrażenie, że mózg mu się odbija od krawędzi czaszki. Czy czaszka ma krawędzie? Świat widział jakby smugami, czasem widok rozmywał się, czasem lewo prawym się stawało. Takie widzenie nie pomagało mu w prostym stawianiu stóp, toteż kilka razy zachwiał się porządnie, kilka razy zahaczył jedną nogą o drugą, raz nawet się wywalił. Leżało mu się na ziemi całkiem wygodnie i najchętniej by zasnął, ale wiedział, że Karolina czeka na niego w domu, i tak dosyć już zła, że poszedł bez niej. Musiał wrócić jak najszybciej, choćby do domu miał się doczołgać. Biorąc pod uwagę jego aktualny stan, czółganie stawało się najlepszym pomysłem, ale nie wróżyło szybkiego powrotu. Lecz jak się spóźniasz, to nieważne ile – pomyślał sobie – byleby bezpiecznie do domu dotrzeć. Karolina i tak mu głowę niezłe suszyć będzie. Ta jego Karolina jest tak piękna jak wredna. A gdy się na Marka wkurzy, w robieniu mu wyrzutów i złośliwości równych sobie nie ma. Wejdzie Marek do



domu, wtoczy się raczej, Karolina, miłość jego największa, stanie w korytarzu, ręce na piersiach założy (ooo, a jakie ona te piersi ma cudowne: mięciutkie, pulchniutkie jak świeże bułeczki), a on padnie przed nią na kolana (bo pewnie na nogach znów się nie utrzyma) i będzie jej mówił, że całym światem jego jest. Ona będzie wyzywać, że ochlej z Marka, że w głowie mu się poprzewracało, że trzy razy zagrozi mu rozstaniem. Ale Marek nazwie ją boginią swą, swym światłem wśród nocy, kwiatem egzotycznym, a na jej twarzy wyraz złości ustąpi rozbawieniu. Wspaniałą ma Karolinę, ten Marek Biegański. Nawet się jej oświadczy niedługo, żeby od kandydatów na teściów wciąż nie słyszeć, że córkę im bałamuci i tak na kocią łapę bez wstydu żyć jej każe. Nie! Oświadczy się jej, bo ją kocha. Koooocha! K-O-CH-A! Kocha.

Imprezy integracyjne to zło – pomyślał Marek Biegański. Wszyscy kumple



z pracy pochłali równo, koleżanki również nie żałowały sobie, Kasię z pokoju 28 udało mu się nawet w tańcu zmacać. Oj, jego najpiękniejsza Karolina chyba by mu tego nie wybaczyła. Mieszkał z nią już od pół roku. Wtedy to jej babcia zmarła i zostawiła po sobie domek na przedmieściach. Ruinę w sumie, nie domek. Ale mieszkać się dało. Dorobią się niedługo, to i porządny remoncik się zrobi i będzie cacy chatka. Wadą domku była odległość od miasta. Jeszcze trzydzieści lat temu była tutaj wieś, potem włączono ją do miasta jako nową dzielnicę. Tyle się zmieniło, że tablica z nazwą miasta się przesunęła, a wieś-dzielnica nowy chodnik zyskała. Chodnik ten ciągnął się wzdłuż cyklicznie łatanej i dziurawionej asfaltowej ulicy, pośród pól i nielicznych gospodarstw. Słabe światła lamp ulicznych oświetlały chodnik nie wiadomo komu, bo o tej porze żywej duszy ze świecą szukać trzeba było. Marek żałował, że taksówki nie zamówił, ale miał do wyboru wypić jeszcze kilka głębszych albo na dyspozytornię po podwózkę dzwonić, bo kasa w portfelu dziwnym trafem wyparowała. Dokonał złego wyboru – pomyślał potykając się o wystającą z chodnika płytę, dokonując dziwnych akrobacji z wymachiwaniem wszystkimi dostępnymi kończynami (zasadniczo miał cztery, ale w tym stanie zliczył drugie tyle), by zaliczyć potężnego orła i zaryć twarzą w beton. Uch! Zabolało. Poleżał chwilę, sprawdził, czy nos ma cały (miał) i podjął heroiczny wysiłek podniesienia się. Oparł się na prawej ręce, dołączył do tego lewą i wyprostował obydwie w łokciach. Potem kolana – powolutku przesuwali się, by przyjąć postawę klęczącą. Jyyyyy! – z gardła Marka dobiegło głośne czknięcie. Dobrze, że tu zbyt wielu domów nie było, bo z pewnością sąsiadów na nogi tym odgłosem gęby swojej by postawił. Swoim kształtem Marek przypominał teraz psa albo raczej kozła. Istotnie, śmierdział jak stary cap. Otarł brodę, bo mu ślina gdzieś bokiem pociekła, zawziętą się z całej siły i ambitnie spróbował ustawić swoje ciało w pionie.

Szedł Dusiołek przez pole, smutny i zmęczony, bo go, obtarta od twardych grud ziemi, dupa bolała. Postać swą miał Dusiołek szkaradną, lecz nieporadną, miary niewielkiej. Żałość w sercu by wzbudził, gdyby to li jedno stworzenie dojrzeć go chciało. A nie chciało żadne, bo spotkać Dusiołka to przyjemność wątpliwa, a dla powonienia okazja zabójcza zgoła. Smród zdradzał zbliżanie się jego, a w nowym świecie, gdzie umyć się z brudu już choróbsk nie powodowało, nader wyraźnie każdy Dusiołka wyczuwał. Przypominał Stworz gluta zielonego, smarka z nosa wykichanego, charka wyplutego – tyle że z ciała olbrzyma wydalonego. A fetor bagienny nad Stworzem się unosił. Rozpacz go ogarnęła, smrodliwą łapą przetaił zaropiatę ślipie, co by łzom wypłynąć pozwolić. Dochodził Dusiołek do skraju pola, gdzie światło miesiąca z elektrycznym się zmieszało. Nie bał się Dusiołek elektryczności, choć nad ciepło ognia i blask iskier jej nie postawił. Ale elektryka tyłu chałup, co niezagaszona świeca, w popiół nie obróciła. Biadał Dusiołek nad swym losem nieszczęsnym, nad czasami nowymi, gdzie każdy na klucz w chałupie swej się zamykał, okna roletami zasłaniał, psa na podwórzec wypuszczzał, że nijak Dusiołkowi było do łóżka śpiącego się dostać. A bo to raz wściekłe psy dupsko Dusiołka pogryzły? A bo to raz na dźwięk syreny, nieopatrznie włączonej swym nieproszonym wejściem, uciekać musiał? Czuł Dusiołek, że czas pójścia do Królestwa Goplany nadszedł. Żal mu dupę ścisnął, bo lubił ten swój ziemski żywot. Tylko te ludziska teraz takie inne. Widywał baby długie



34 i chude bez cycków, i baby z cyckami wielkimi, uwieszonymi niczym dwa bochny chleba. Widział mężczyzn wysokich, mężczyzn prężnych o budowach niczym najprzedniejsi wojowie. Spoglądał też na młodych, zgarbionych jak starzy, pasibruchów, kroczących jak toczące się beczki, a mądrością swą baranom sięgających. Od wieków Dusiołek ród ludzki obserwował, wiele się napatrzył, wiele nasłuchał, lecz to nowe czasy dopiero sprawiły, że Stworz martwić się począł, czym się człowiek staje. Dziwny był gatunek człowieka. Dumny, że na wzór i podobieństwo Boga Chrześcijańskiego stworzon został, lecz naturą swą bliższy był wieprzom w chlewie.

Szedł Dusiołek zapłakany, łzy mu nosem ze smarkami szły, dupsko paliło, stopy bolały. Głowę swą smętnie zwiesić chciał, lecz gdy zbliżał się na skraj pola, obaczył, że nie jest pod tym niebem sam. Śród migocących sztucznych świateł, oganiając się od komarzy, stworzenie blade tańczyło. E, nie tańczyło, tylko iść próbowało. Człek samiusieńki szedł.

Do domu zostało Markowi Biegańskiemu może pół kilometra. Najdłuższe pół kilometra, jakie w życiu swym miał pokonać. Chodnik wydawał się zbyt wąski, by pomieścić jego osobę, Marek z trudem utrzymywał się pomiędzy jego krawędziami. Co jakiś czas ciszę nocy zakłócało głośnie „jyyyp”. Pijacka czkawka nie chciała odpuścić, dręcząc już nie tylko przeponę, ale wszystkie żebra idącego. Dom wydawał się być coraz bliżej, jednak droga pod nogami przesuwiała się zdecydowanie zbyt wolno. Marek stwierdził, że podbiegnie odrobinę. Ruszył do przodu, jednak głowa okazała się poruszać szybciej niż reszta ciała, więc Marek wyrznął w chodnik, objając sobie twarz. Beton był przyjemnie chłodny, łagodził ból i Marek mógłby przeleżeć tak do rana. Noc była letnia, ciepła, chodnik zaskakująco wygodny. Nawet drobne kamyczki zdawały się idealnie wpasowywać w twarz Marka. Resztkami świadomości wyobraził sobie Karolinę czekającą na jego powrót i strach go obleciał. Musiał zebrać wszystkie swoje siły, bo inaczej cienko z nim jutro będzie. Dojdzie do domu choćby na kolanach, cichutko wczołga się do pokoju, może jego słońce najdroższe się nie zbudzi i drzeć papy nie będzie. Marek położył się na kanapie, żeby Karolinie chrapaniem nie przeszkadzać (po przepiciu trąby jerychońskie przy nim wymiękały), a rano jego lepsza druga połowa będzie oczywiście tak zła i obrażona, że przez pół dnia się słowem nie odezwie. Nie będzie jej uświadamiał, że tym właśnie mu przyjemność sprawi.

Marek Biegański podjął męską decyzję, zawziął się w sobie i przewrócił na plecy. Jednak źle odmierzył odległość i zamiast twardo grzmotnąć na cztery litery, zaczął się zsuwać. Chodnika zabrakło i Marek Biegański stoczył się do rowu. „Kurwa mać” – pomyślał.

Przystanął Dusiołek na skraju pola i obserwować dziwo, człkiem zwane, począł. Gorsze to stworzenie niżli świnia. W jedzeniu i picu nieumiarkowane, rzygami cuchnące, bełkotliwe w mowie, w chodzie niepewne. Żal spłynął na Dusiołka. To na niego pluto, smrodliwym nazywając, a człowiek, wywyższon przez samego Pana Boga nad inne stworzenia, sam się do podłego i szpetnego stanu doprowadzał.

O, padł skurwysyn.

Ciekawość Dusiołka zżerała. Zbliżył się do leżącej kreatury. Chciał się mgłą stać, co by niezauważonym pozostać mógł, jeno tylko ciche pierdnięcie z jego dupy się wymusnęło.



Podchodząc do padłego człowieka, chwilę się obawiał, czy rzyć jego twardym butem nie zostanie potraktowana. Toć ludzie okrutnikami wobec Stworza nazbyt często bywali. Przetarł zaropiałe, zażawione oczy, by mu nic w widzeniu nie przeszkadzało. Lecz gdy zobaczył zwłoki alkoholem zmorzone, wredny uśmiezek wpełzł mu na twarz. Ten człowiek z nowych czasów niczym się od dawnych chłopów nie różnił. No, może łapę miał chudsza, do rąbania drewna nienawykłą. Bimber jednak na równi słabych i silnych stawał, do snu morzył. Oj, to będzie noc, pomyślał Dusiołek.

Marek Biegański leżał w rowie. Głowę miał opartą na kępce wilgotnej trawy, ręce wsadził do kieszeni spodni, nogi rozrucił szeroko. Tak mu było wygodnie. Wzrok miał skierowany ku górze. Obserwował gwiazdy. Nagle poczuł nieznośny smród. Przecież kanalizacja w dzielnicy była już podłączona. Czyżby zapomniano o jakiejś posesji i rowem nadal szambo płynęło? Czyżby ktoś jeszcze fekalia do rowu wylewał? Nie, w niczym smrodliwym się nie taplał. Pole blisko, może stamtąd się niosło. Pewnie jakiś gospodarz niedawno nawóz wywiózł. Ech, nieważne. Noc była ciepła i piękna. Tak cicha i spokojna. Świerszcze cykały, skądś dobiegało rechotanie żab. Żarówki w ulicznych lampach brzęczały jednostajnie. Jakiś kot zamiauczał. Marek wpatrywał się w granat nieba, podziwiał konstelacje, marzył o Karolinie leżącej u boku. Prawdziwe życie było tak daleko. Gdyby tak zatrzymać czas w tej chwili, móc nieustannie czuć tę nieograniczoną błogość rozlewającą się na całe ciało. W głowie się Markowi kręciło od nadmiaru wódki. Gwiazdy wirowały, tańczyły, spadały z nieboskłonu i nań wracały. Ich światła migotały, gasły i na nowo się pojawiały. Księżyc ginął za chmurami, gdzieśgdzie przenikając przez nie i ukazując swe lico. Lico pełne, jasne i łagodne jak twarz Karoliny. Marek kochał tę swoją Karolinę. Kochał za dołki w policzkach, za kitkę na czubku głowy, za wspólne śniadania i szalik „Lecha Poznań” na Gwiazdkę. Prawie czuł dotyk swej rozkosznej Karoliny na sobie. Nie wiedział już, które z obrazów sprzed oczu są rzeczywiste, które wytworem jego wyobraźni, a które życzeniem wśród spadających gwiazd. Czuł się szczęśliwy, zaspokojony, uieczony. Powieki z wolna zaczęły się zamykać. Zapadł w ciemność.

Spokój nocy zburzyło głośnie chrapanie dochodzące z rowu.

Dusiołek, coraz bardziej podniecony, obserwował leżące w rowie stworzenie. Stał nad nim, a ono nie dostzegęło Stworza, wgapione gdzieś wysoko jak ciele w malowane wrota. Szczęśliwość poczuł Dusiołek. Ta noc miała wrócić mu dawną rangę wśród ludzi, przywrócić im pamięć o nim. Spoglądał na rytmicznie unoszącą się i opadającą pierś śpiącego. O, jakże wabił go ten ruch, jak przyzwał Dusiołka niczym kochanka męża spragniona, niczym pustynia deszczu łaknąca, niczym skazaniec o wolność błagający. Żądze nieogarnioną poczuł Stworz na ten widok, lędźwie go paliły, w głowie huczało, powykrzywiane ręce drżały. Ekstaza i uniesienie go ogarnęły, począł z uradowania nogami przebierać, tupać jak szalony, aż grzyb i inne pleśnie z żółto-zielonych paznokci odpadły. Zbliżył się Dusiołek do swej ofiary, nachylił nad jej twarzą. Człowiek chrapał wniebogłosy, nierówno i obrzydliwie, lecz sen silny miał. Co za noc! Spojrzył Dusiołek zafascynowany na brudną od błota szyję śpiącego, na grdykę wędrującą w górę i w dół, cóż to za widok! Ileż to lat nie stał tak



36 blisko syna Ewy. Ileż to lat w zapomnieniu pozostawał, żądze swe uciszając. Ten nieszczęśnik nieświadom niczego ukoł głód Dusiołka, zaspokoi jego naturę. Ten oto tutaj napełni Dusiołka, szał i wrzenie w nim wzbudzi. Nie czas do Goplany iść. Skoczył Dusiołek swym dupskiem na pierś śpiącego, za szyję capnął i dusić zaczął. Lecz od lat dłonie od zaciskania odwykłe, z trudem kark śpiącego ogarnęły.

— Co jest, kurwa?!!! — Marka Biegańskiego obudziło silne uderzenie w pierś. Ocknął się oszołomiony, nie mógł złapać oddechu. Mrugnął dwa razy, by sprawdzić, czy nadal śpi. Przed sobą zobaczył zielonego karta, który w dodatku śmierdział tak, że na wymioty się zebrało. Wygląd stwora prowokował do podobnej reakcji. Karzeł siedział Markowi na brzuchu, wgniatając go swym ciężarem w rozmokłą ziemię. Marek spróbował zepchnąć to coś z siebie, lecz mały potwór uczeplił się jego szyi i za nic w świecie nie chciał puścić. Na nic się zdała próba wstania, gdyż ściernięte nogi nie chciały się wyprostować, a ilość alkoholu, płynąca w żyłach, skutecznie ograniczała możliwość utrzymania w najmniejszym choćby stopniu równowagi.

Zaskoczyła Dusiołka siła człeka. Ten zbudził się, lecz miał wydać dech ostatni i o litość błagać, zaklął szpetnie i Dusiołka ukrzywdzić zechciał. Ścisnął Stwórca mocniej gardziel nieszczęśnika, ten wybałuszzył oczy i silniej szarpać się zaczął. Czuł Dusiołek, że ręce ma słabe, że wymsknie mu się ofiara. Na to się nie godził! Trwoga go ogarnęła, toć szczęśliwość swej przyszłości miał wnet utracić. Nie, nie będzie nikt Dusiołkowi umykał. Otworzył gębę, zębiska krzywe, brunatne i niekompletne ukazując i chapnął ofiarę w szyję. Użarł tak, że jucha się z żyły polała.

Marek Biegański wciąż nie wiedział, czy to sen czy jawa. Walczył, próbując zrzucić z siebie dziwo, zaklinając na wszystkich świętych, że nigdy w życiu nie tknie już alkoholu. To, co go dusiło, nie mogło istnieć naprawdę, było tylko wytworem jego wyobraźni. Lecz ból był nazbyt prawdziwy. Poczul ukąszenie i wilgoć na szyi. Zaczął słabnąć. Przed oczami pojawiły się kolorowe plamy, tracił moc w rękach, omdlewał, zasypiał.

Dusiołek jak pies żarliwie chęptał posokę strumieniami, fontannami lejącą się z gardła człowieka. Pierwszy raz smakował krwi. Mówiono, że krew słodka ma smak. Lecz w gębie Stworza gorzko-słona była. Stodycz jednak rozlewała się po całym ciele Dusiołka, drażniąc inne zmyły. Był niczym wapierz niedopity. Czuł mrowienie od samych stóp po czubek łepetyny. Ssał chciwie, łapczywie, drapieźnie, zachłannie. Wzrok mu mgłą zaszedł, lecz czerwień widział wyraźnie. Im więcej człowieka wysysał, tym wyraźniej czuł uciekającą z ciała duszę. Nieszczęśnik słabł. Ekstaza, pobudzenie, wypełnienie, głód i żądza – to wszystko kumulowało się w nędznej postaci Stworza i w uchodzącym życiu ofiary znajdowało ulgę i zaspokojenie. Zatrwożył się Dusiołek. Toć nie krwią miał się żywić, ino ostatnim tchnieniem ludzi snem zmorzonych. Oderwał swe łapska od umrzyka, wytarł uwalone juchą palce w trawę. Śmierć równymi wszystkich czyni. Nie, Goplano, nie czas jeszcze na Dusiołka. Niejeden sen jeszcze przedłuży na wieki.



Marek Biegański wracał z imprezy. A raczej próbował. Unosił się kilka centymetrów nad ziemią, lekki niczym firanka na wietrze. Sunął do swej Karoliny, błogo śpiącej we wspólnej pościeli. Do Karoliny pięknej i spokojnej, której ust już nie poczuje. Do Karoliny wdzięcznej niczym kwiat, tej jedynej, co żoną miała jego zostać. Do swej Karoliny Marek podąży, nim go piekło pochłonie, nim w otchłań czarną i zimną wpadnie.

Karolina poruszyła się niespokojnie w łóżku. Była sama. Marek jeszcze nie wrócił. Uniósł głowę, na wpół otworzyła jedno oko i z wysiłkiem spróbowała dojrzeć czerwone cyfry na blacie elektronicznego budzika. Czwarta trzydzieści. Była zbyt zmęczona, by się wściekać.

— A niech go wszyscy diabli — pomyślała o Marku i zasnęła ponownie.

Świt się zbliżał. Dusiołek leżał na trawie obok martwego ciała. Leżał i wiedział, że grzech okrutny popełnił. Krwi ludzkiej nie wolno mu było smakować. O przebaczenie Boga chrześcijańskiego w niebiesiech błagał, „mea culpa, mea culpa!” wołając. Łzy ronił rzęsiście, co mu zaropiałe oko obmywały, w pierś się bił. Jednak Bóg nie słyszał wołania Dusiołka, gdyż ten do innego świata należał. Lecz wraz ze wschodzącym słońcem lekkość Stworz poczuł. Lekkość radosną, beztroską, pogodną. Poczul, że we mgłę się rozptywa, jak to za dawnych wieków bywało.

Tańczy Dusiołek, wraz z wiatrem figluję, liście wysoko porywa. Wiruje, goni, ucieka, kurz w górę unosi, z głów czapki strąca. Świszcze, gwizdże, szeleści i szumi, z radości Dusiołek aż śpiewa. Lecz strzeż się, człowiecze, bo nocą ciemną postać swą szkaradną przybiera. Po smrodzie go poznasz, co zmysły wykręca, po dupie olbrzymiej i zgniłym oddechu. Szuka Dusiołek człeka śpiącego, by oddech ostatni mu ukraść. Lecz jeśli Ty, człowieku nieszczęsny, Dusiołka znaleźć chciał będziesz, to szukaj wiatru w polu. ☒





MOJE ZE SŁOWIAŃSKĄ FANTASY PRZYPADKI

Zły to ptak, co własne gniazdo kala czy *Cudze chwalicie, swego nie znacie* – oba te przysłowia najlepiej oddają mój stosunek do mitologii słowiańskiej. Nie jestem i nigdy nie byłem admiratorem tego zjawiska, a strzępy wiedzy, które na jego temat posiadam, nie stały się impulsem do jej pogłębiania. Zawsze zresztą uważałem, że rację miał Mieszko I, kiedy porzucił słowiańskie bałwany dla wiary w Stwórcę, Zbawiciela i stanowiącego jedno z nimi Ducha. Kulturowa i polityczna wyższość chrześcijaństwa nad rodzimymi wierzeniami była bezdyskusyjna. Gdyby sprawy miały się inaczej, tzn. różnica jakościowa między nimi nie była aż tak rażąca, zachowałyby się na temat przedchrześcijańskiej słowiańszczyzny znacznie bogatsze informacje, jak stało się to w wypadku np. mitów greckich, germańskich czy celtyckich. Również tzw. twórczość ludowa (*arka przymierza między dawnymi i młodszymi czasami*) miałyby znacznie większy wpływ na kulturę wysoką i nie byłaby jedynie smutnym wyrzutem sumienia. Ale kto przeżył choć kilka lat w PRL-u, ten dobrze zapewne pamięta te siermiężne i żenujące akademie ku czci z wiecznie roztańczonym Mazowszem czy Śląskiem, wykonującym jakieś przerażające pieśni i wycinającym niemiłosierne hołubce, po których na głowie zostawały tylko resztki włosów, bo cała reszta tkwiła wyrwana między palcami, że o bolących od zaciskania szczękach nie wspomnę. Te traumatyczne przeżycia z dzieciństwa na zawsze zakodowały w mojej świadomości niechęć do tego typu przekazów, a słowiańszczyzna znalazła się między nimi jako ich główna składowa. Jeżeli jednak dziś siadam do pisania tego felietonu, to wyłącznie za sprawą fantastyki,

która dla własnych potrzeb zaadaptowała te elementy słowiańskiej mitologii, które dawało się wykorzystać jako nośniki grozy, tajemnicy i niezwykłości lub... humoru.

Jeśli nie liczyć szkolnych czytanek o Lechu, Czechu i Rusie; Wandzie, co nie chciała Niemca; Kraku, Dratewce i smoku wawelskim; Popielu i myszach czy postrzyżynach Siemowita syna Piasta, to moją pierwszą samodzielnie przeczytaną słowiańską opowieścią była komiksowa saga o Kajku i Kokoszu. W ujęciu Christy słowiańszczyzna mnie nie raziła, a satyryczny charakter tych historii nadawał im wręcz uniwersalnego wymiaru. Podobnie zresztą postąpił Stanisław Pagaczewski w powieściowym cyklu o Smoku Wawelskim: główne postaci z najbarwniejszej słowiańskiej legendy (książę Krak i smok) stały się motorem humorystycznych opowieści dla dzieci od lat 7 do 107. (Zauważcie, że ostatnia z opublikowanych części nosi tytuł *Gąbka i latające talerze*; twórcy czwartego Indiany Jonesa zapożyczyli się zatem nie tylko u Nienackiego – patrz *Pan Samochodzik i człowiek z UFO*, ale także u Pagaczewskiego! Spadkobiercy obu powinni puścić Spielberga w skarpetkach). Co więcej: anachronizmy tej prozy zapowiadają znakomicie to, z czym mamy do czynienia współcześnie, czyli z fantasy hybrydową (por. np. cykl Kołodziejzaka *Ostatnia Rzeczpospolita*). Słowiańskość nienabzdyczona, z dystansem do siebie sprawdziła się zatem znakomicie i do dziś można polecać jej lekturę.

Bardzo długo próbowałem sobie przypomnieć, który tekst z elementami słowiańskimi przeczytałem jako następny, po tamtych dziecięcych próbach, ale nie mogę się przebić przez mroki niepamięci. Zakładam zatem, że była to *Balladyna* Słowackiego, z którą zapoznałem



się z obowiązku szkolnego bodajże pod koniec podstawówki. Romantycy, jak powszechnie wiadomo, odkryli dla kultury wysokiej ludową fantastykę i jako koneserzy wszelkiego rodzaju dziwactw (romantyczna frenezja), okraszali (*nomen omen*) swoje utwory rodzimymi strachami. Ale co bardziej wpłynęło na powstanie *Balladyny*: słowiański folklor, Szekspir czy Macpherson, tego naprawdę nie sposób ustalić. Owszem, miał Słowacki – jeszcze przed Kraszewskim – pomysł napisania cyklu dramatów o legendarnej historii Polski (innym utworem z tej serii była *Lilla Weneda*, choć napisana później, opowiadała o czasach wcześniejszych), ale śmiem twierdzić, że gdyby wcześniej nie znał *Makbeta*, *Snu nocy letniej* i *Pieśni Osjana* to z *Balladyny* byłyby nici.

Tak czy siak, pozostaje ten dramat pierwszym i jednym z najlepszych tekstów fantasy w literaturze polskiej. Jego wielkość zawdzięczamy jednak twórczości stradfordczyka, geniuszowi samego Słowackiego i dopiero na końcu ludowym podaniom, które złożyły się na kanwę tej historii.

Temat wymaga głębszej refleksji, na którą w tym felietonie brak miejsca, ale nawet pobieżny przegląd motywów, wypełniających baśniową warstwę tekstu: król-pustelnik, zagubiona królewska korona, Pani Jeziora i razem królowa elfopodobnych skrzatów pokazują, że z całą pewnością nie są one czysto słowiańskie i nie tylko Szekspir, ale również legendy arturiańskie złożyły się na sukces tego dramatu. Słowiańskie są w nim głównie imiona bohaterów, nazwy miejsc i echa legendarnej historii lechitów – zwłaszcza

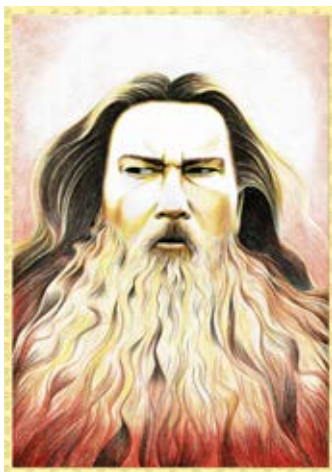
ich walki z germańskim ekspansjonizmem, a także ludowa przypowieść o rywalizacji sióstr o bogatego narzeczonego i ich zbieraczy pojedynk (ekwiwalent motywu „z chłopą król” – w tym wypadku: z baby królowa) oraz swoista realizacja bajki o głupim Jasiu (w tej roli wystąpił Grabiec). Niemniej, to właśnie te swojskie elementy odciskają na całości swoje niezatarte piętno i jeżeli z tekstu zostaje coś w pamięci przeciętnego czytelnika, to głównie przekonanie o czysto słowiańskiej proveniencji *Balladyny*. A przecież słowiańszczyzna nie stanowi zasadniczego wątku tekstu, lecz jedynie jego ośnowę. Bez dwóch zdań dał nam przykład Słowacki, jak korzystać z historycznych i legendarnych przekazów oraz bogactwa europejskiej kultury, by stworzyć utwór

nieodparcie kojarzący się ze słowiańskością mimo tak kruchych z nią związków.

A już zupełnie na marginesie: ten utwór wręcz się domaga nowego opracowania, nie tylko scenicznego, ale przede wszystkim filmowego. Skoro z tak nudnej książki jak *Gra o tron* można stworzyć serial przykuwający uwagę setek milionów widzów na całym świecie, to z tego porywającego dramatu ludzkich namiętności, przeznaczenia i przypadku powinno się nakręcić film

wciskający wręcz w fotel. A jeśli polska kinematografia nie wie, jaki ma skarb w rękę i po klęsce *Wiedźmina* fantasy nie jest dla niej gatunkiem zbyt atrakcyjnym, to może warto namówić na produkcję tej adaptacji HBO. Dziełu temu już dziś jestem gotów kibicować.

Napisałem powyżej, że mitologia słowiańska jest doskonałym rezerwuarem dekoracji



Paulina Śliwa



40 dla fantastycznych fabuł, niekoniecznie zaś – ze względu na mizerię źródeł i brak naprawdę interesujących opowieści o rodzimych bohaterach, bogach i zaświatach – źródłem inspiracji dla zainteresowanych nią twórców. Idea słowiańskiej fantazy wygląda zatem na trochę naciągana. I żeby nie było: nie mam za złe Autorom, że podejmują trud stworzenia swojskiej odmiany baśniowej fantastyki, ale pewnych ograniczeń nie da się przezwyciężyć, a to, z czym mamy do czynienia, jawi się trochę jak wznoszone w romantycznych ogrodach pseudośredniowieczne ruiny: uroczyste, ale całkowicie sztuczne.

Jedną z pierwszych tego typu prób w polskiej fantazy były *Skarby stolinów* Ziemkiewicza, które ukazały się w jednym tomie z nowelką *Hrebor cudak*. Pisałem o tej książce w 17. numerze naszego pisma, więc się nie będę powtarzał; wystarczy wspomnieć, że nawet tak dobry pisarz nie był w stanie ożywić w niej słowiańskiego ducha. Nie ma się zresztą czemu dziwić: przedchrześcijańscy Słowianie zasiedlający tereny pojałtańskiej Polski nie pozostawili po sobie jednolitego systemu wierzeń (do dziś nawet nie wiadomo, czy funkcjonowała wśród nich kasta kapłanów) czy choćby jakiegoś etosu (poza biciem Niemca – tu kłania się opisywane przeze mnie we wspomnianym numerze CK opowiadanie Kołodziejczaka *Łuczniczka* – lub przynajmniej zamiejscowych), a do naszych czasów przetrwało ledwie kilka zabobonów (nie zawsze zresztą kojarzonych z wiarą przodków, np. szacunek dla ptasich gniazd). To szalenie mikre dziedzictwo, by dać początek rozbudowanym literackim światom i długodystansowym fabułom.

Znacznie uczciwiej postępują tacy autorzy jak Sapkowski, Kołodziejczak czy Lewandowski, którzy do swoich tekstów wplatają zaczerpnięte ze słowiańskiej

mitologii wątki (zwłaszcza demonologiczne), ale nie pozują przy tym na twórców słowiańskiej fantastyki. Co prawda we współczesnej kulturze czystość gatunkowa nie jest najbardziej oczekiwaną cechą, a – jak już wspomniałem – żeby stworzyć wrażenie słowiańskości, wystarczy sięgnąć po kilka kojarzących się z nią rekwizytów i umieścić je w odpowiedniej lokalizacji (najlepiej nad Gopłem lub w okolicy Gniezna).

Przyznaję, że wobec powyższego do kolejnych tytułów nawiązujących do słowiańskiej mitologii mnie nie ciągnęło, a po lekturze *Samotności bogów* Doroty Terakowskiej całkowicie straciłem do niej serce. Powieści tak niemądrej w kwestiach religijnych, tak żarliwie relatywizującej zagadnienia wiary i kultu nie czytałem nigdy wcześniej, ani nigdy potem. Oto w jej finale bohaterowi, który naruszył przedwieczne tabu i popłynął na wyspę, gdzie stał posąg jakiegoś prastłowiańskiego bożka, objawia się korowód bóstw. Mimo że znajdują się wśród nich zarówno demony, którym składano krwawe ofiary z ludzi, jak i postacie historyczne, w tym Jezus Chrystus, wszystkie traktowane są tak samo: jako biedne ofiary ludzkiej wyobraźni. Ta wymierzona we wszelkie przejawy wiary satyra, napastliwie traktująca zwłaszcza instytucje religijne (karykaturalny wizerunek księży jest żywcem przeniesiony z poradników wującego ateizmu) była kroplą, która przelała czarę goryczy. Postanowiłem się trzymać jak najdalej od tego zjawiska.

I tak się mniej więcej ma sprawa moich relacji ze słowiańską fantastyką. Mimo pewnego do niej urazu nie zarzekam się jednak, że już nigdy więcej po nią nie sięgnę. Czekam jednak na historię, która dorówna genialności *Balladynie* lub przynajmniej przewrotności *Kajka i Kokosza* czy *Smoka Wawelskiego*. ❧



NORBERT GÓRA

KATASTROFALNA BEZSENNOŚĆ

Człowiek jest geniuszem, kiedy śni
Akira Kurosawa

Stanisław wpatrywał się z uśmiechem w wieczorne niebo, które coraz bardziej przybierało kolor galaretki jagodowej. Nieco ponad horyzontem widział jeszcze różowe, piezaste chmury, przypominające swym kształtem szeroko rozłożone skrzydła ptaka. Przez wrota czasu powoli przechodził dzień czwarty sierpnia. Powietrze nareszcie zaczynało robić się nieco chłodniejsze, po kilku długich godzin skwaru. Nie zanosilo się jednak na deszcz, ale tym akurat w ogóle się nie przejmował. Doskonale wiedział, czyja to była zasługa, i wolał się tym z nikim nie dzielić. To był jego sekret i chociaż kiedyś, nie tak dawno temu, miał zamiar w końcu powiedzieć o tym żonie, w ostatniej chwili jednak ugryzł się w język i w trakcie rozmowy przeskoczył na zupełnie inny temat.

Ocknąwszy się z zamyślenia, spojrzeli na ziemię skąpaną w blasku zachodzącego słońca i westchnęli. Po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że kocha tę wieś, to wspaniałe miejsce do życia, z dala od metropolii opuchniętej od wrzeszczących klaksonów, przepelnionych tramwajów i szkodliwego powietrza.

— Stachu, kolacja! — krzyknęła przez otwarte okno jego żona, Wiesława. Mężczyzna, nie odwracając się w jej kierunku, otworzył usta.

— Idę już, idę — mruknął i zerknął na swój zegarek. Była punkt dziewiętnasta.

* * *

Kiedy zasiedli razem do wieczery, przy starym hebanowym stole, przykrytym białym, nieco wygniecionym obrusem, odmówili wspólnie modlitwę.

Robili to już od niepamiętnych czasów. Żona zabrała się od razu do jedzenia, ale Stanisław dumał nad trzema kromkami jasnego pieczywa z masłem, serem żółtym, wędliną i pomidorem. Miesiąc temu minęła ich czterdziesta pierwsza rocznica pożycia małżeńskiego. W chwili ślubu on miał dwadzieścia dwa lata, a ona była o rok młodsza. Czas nie obszedł się z nimi łagodnie. Wręcz przeciwnie – trzasnął ich obydwójce prawym sierpowym przemijalności. Przytyli, posiwili i zyskali całą sieć zmarszczek.

— Zaraz, dlaczego zrobiłaś tylko trzy? Zawsze były cztery — powiedział Stanisław, policzyszy uprzednio wszystkie kromki. Kiedy zerknął na małżonkę, dostrzegł na jej twarzy konsternację.

— W telewizji mówili, że powinniśmy bardziej o siebie dbać. Za dużo cholesterolu, Stachu, a cholesterol to drugie imię kostuchy — odparła Wiesława i pokręciła delikatnie głową. Na jej barki opadały srebrzyste jak księżyc włosy. Stanisław przyjrzał się im uważniej i, z ogromnym żalem, pomyślał, że już nigdy nie będą blond, jak przed laty.

— Jeśli w telewizji powiedzą, że mleko prosto od krowy jest niezdrowe to co, każesz mi zabić nasze mučki? Jeszcze trochę i zaczną nam wmawiać jakieś głupoty — burknął



42 Stanisław i chwycił za pierwszą kromkę, a następnie spojrzął na biały, porcelanowy kubek z gorącą herbatą, który stał po jego lewej stronie. Wiesława zamilkła na moment, po czym, przełknąwszy jedzenie, chrząknęła i znowu się odezwała.

— Słyszałeś, że Bieźeciakowie modlą się o deszcz już pół miesiąca? Jak nie on, to ona przychodzi pod kapliczkę na rozstaju dróg i klęczy dobrą godzinę.

Stanisław ściągnął brwi, wziął łyk herbaty i odstawił kubek na stół.

— Jak twoga, to do Boga — parsknął śmiechem i przetarł kantem dłoni usta. — W kościele nie widziałem ich od tygodni, a teraz to gnają obydwójce pod kapliczkę. Poza tym, mamy lato, trzeba się rozkoszować taką piękną pogodą, a nie siedzieć w chałupie i czekać aż przestanie padać.

— Moim zdaniem to już przesada. Taki skwar może nam poważnie zaszkodzić. My już jesteśmy za starzy na takie upały — powiedziała Wiesława i po chwili wzięła swój talerz ze stołu. Stanisław rzucił na nią okiem i ciężko westchnął.

— Znowu marudzisz, Wieśka — mruknął i kontynuował jedzenie.

* * *

Jak każdego dnia, Stanisław kładł się do łóżka punkt dwudziesta pierwsza. Dla niego był to swego rodzaju rytuał, jak modlitwa przed kolacją. Zanim położył głowę na poduszce, wyjrzał przez otwarte okno w ich sypialni. Wbił wzrok w księżyc i myślał. Po kilku chwilach wpatrywania się w srebrzystą satelitę Ziemi, poczuł dziwny niepokój. Wzruszywszy ramionami, odetchnął głęboko i poszedł w końcu do łóżka. Wiesława zgasiła światło w sypialni, położyła się obok niego i, zanim zamknęła oczy, otworzyła usta.

— Dobranoc, Stachu. Niech ci się przysnią dobrotliwe anioły — szepnęła, ale Stanisław zmarszczył czoło. Miał dziwne wrażenie, że się przejęczyła i zamiast „anioły” powiedziała „demony”.

Nie, to na pewno ja źle zrozumiałem, pomyślał i opuścił powieki, z nadzieją, że zaraz wkroczy w świat Morfeusza, opuchnięty od szuflad pełnych snów.

* * *

Dziesięć minut później, rozdrażniony jak nigdy, otworzył oczy i zamrugał. Coś było nie w porządku. Najpierw obrócił się na lewy bok, potem na prawy, aż w końcu położył się z powrotem na plecach.

— Co ty się tak rzucasz, jak ryba w sieci? — jęknęła Wiesława i nakryła głowę bawełnianą, białą niczym śnieżne płatki kołdrą.

— Nie mogę zasnąć — odparł Stanisław i kaslnął. Niepokój w dalszym ciągu przemykał po jego żyłach, jakby był czerwoneką krwinką.

— Czyli jednak działo — stwierdziła żona i zwróciła się do niego twarzą.

— Co?

— Ten preparat pobudzający — powiedziała Wiesława i uśmiechnęła się, jednak szybko przestała, gdy dostrzegła zdziwienie męża.





- Jaki preparat?
- Dolałam ci do herbaty przed kolacją. Anielczykowa mówiła, że działa cuda, a ty tak długo śpisz ostatnio i mam wrażenie, jakbyś coraz bardziej opadał z sił.
- Stanisław ściągnął usta. Lęk, jaki dotychczas jedynie krążył po jego ciele jak cień, teraz rozrósł się do rozmiarów lwa.
- Nie — wyszeptał jej mąż i zacisnął ręce w pięść.
- Stachu, co ci jest? Pobladłeś — powiedziała Wiesława i podniosła głowę z poduszki.
- Dlaczego to zrobiłaś, dlaczego?! — Stanisław warknął i odrzucił kołdrę na bok. Czuł jak serce przyspiesza.
- Ja... ja chciałam dobrze. Z resztą, przecież to nie działa cały czas. Prędzej czy później pójdziesz spać. — Jej mąż wyskoczył z łóżka, przeszedł kawałek i stanął do niej twarzą.
- Ty głupia babo! Wiesz, coś narobiła?! — Wrzasnęła po raz kolejny i pokręciła głową. Wiesława zaniemówiła ze strachu. Podobnie jak on, odrzuciła kołdrę i wstała z łóżka.



- Stanisław... co się z tobą dzieje?
- Jestem zduhaczem! — mężczyzna ryknął i chwycił się za głowę.
- Kim jesteś?
- Zduhaczem, kobieto! Ja muszę spać, bo inaczej... — Stanisław już prawie wyjawiał jej swoją tajemnicę. Po chwili jednak zamilkł. Przecież przyśięgał — na Boga! — przyśięgał, że nikt nigdy się o tym nie dowie. Tylko on i jego rodzina miała prawo wiedzieć.
- Inaczej co? — zapytała Wiesława, stopniowo zbliżając się do męża. W końcu stanęła plecami do okna, wpatrując się w małżonka, którego teraz nie poznawała.
- To bardzo skomplikowana sytuacja. Musisz mnie zrozumieć, ja nie mogę... — Stanisław zaczął się jękać, potrzęsając



nerwowo głową. Nie wiedział, jak miał wybrnąć z tego wszystkiego tak, aby ona nigdy się nie dowiedziała.

Co robić, cholera, co robić? – pomyślał i zacisnął szczęki, gdy Wiesława wyjrzała przez okno i krzyknęła.

— Stachu, patrz na księżyc. Olaboga! — Mąż zamrugał i rzucił się ku niej. Gdy spojrział na księżyc, zadrgał z przerażenia.

— Na rany Chrystusa, zaczyna się — powiedział i przytknął dłoń do ust. Księżyc – jeszcze kilkanaście minut temu srebrny jak biżuteria – teraz czerwieniał. Wyglądał jakby ktoś stopniowo zanurzał go w kąpieli z krwi.

— Co się zaczyna? Stanisław, o czym ty mówisz?! — krzyknęła w końcu Wiesława, nie mogąc już dłużej znieść tajemniczości, która okrywała jej męża jak jedwabny szal. Mężczyzna poczuł, że traci grunt pod nogami. Chociaż nie chciał, musiał się z nią podzielić wszystkim, co wiedział.

— Wieśka, uspokój się i posłuchaj. Jestem zduhaczem.

Zaraz dowiesz się o mnie czegoś więcej, czegoś, o czym miałaś nigdy nie wiedzieć. To będzie długa historia – powiedział i wypuścił powietrze z ust.

* * *

Kobieta ledwo mogła ustać na nogach, gdy Stanisław skończył swoją opowieść. Dowiedziała się o jego pradziadku – z pochodzenia Bułgarze – który pewnej nocy, kilkadziesiąt lat temu, kiedy jej mąż był rozkosznym oseskiem, nie mógł zasnąć. Cała rodzina Stanisława przeżyła niewyobrażalny koszmar.

— Dużo później, dziadek opowiedział mi, co się wtedy wydarzyło. Niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, nad naszym domem zaczęły formować się chmury, w dziwnych, apokaliptycznych kształtach. Nie spadła z nich ani jedna kropla deszczu. Razem ze swoim ojcem usłyszeli przeraźliwe syknięcia i piski dochodzące z nieba. Potem sfrunęły stamtąd demony wprost nie do opisania. Nikt nie mógł w to uwierzyć. Pojawiły się na poczekaniu chwili, ot tak. Zniszczyły całe nasze uprawy i mało brakowało, a zaatakowałyby i nas. Musieliśmy uciekać na drugi koniec kraju.

Dopiero wtedy, gdy zacząłem dorastać, dziadek powiedział mi o funkcji zduhacza. W trakcie snu miał za zadanie odpędzać chały i ażdachy, powietrzne demony. Wystarczyła jedna, bezsenna noc mojego pradziadka i potwory prawie zniszczyły nasze życie. Zduhaczami byli wszyscy moi męscy przodkowie, a teraz na mnie spoczął obowiązek walki z demonami. — Gdy Stanisław skończył, zorientował się, że nad wioskę nadciągają burzowe chmury. Chały i ażdachy stopniowo się odradzały.

— Boże, Stachu, ciebie jakiś diabeł opętał — krzyknęła Wiesława i zaczęła lamentować. Mężczyzna jedynie machnął ręką na żonę i wybiegł z sypialni, kierując się do kuchni.

— Gdzie pędzisz? — jęknęła kobieta.

— Muszę natychmiast zasnąć — odparł poirytowany, zbiegając po schodach w dół, po dwa stopnie. Zanim żona pognała za nim i dobiegła do kuchni, Stanisław zdążył wyrzucić wszystko z ich domowej apteczki. Znalazł tylko leki przeciwbólowe i syrop na kaszel.



— Cholera — wymamrotał, rzucając puste pudełeczko na stół. Po chwili przyszedł mu do głowy pomysł. — Idę do Boronia. Kto jak kto, ale on na pewno będzie miał coś na sen.

Wiesława ściągnęła brwi, a na jej czole pojawił się charakterystyczny mars.

— O tej porze?! Na litość boską, przestań.

Stanisław obrócił się do niej twarzą i położył ręce na jej barkach.

— Jak wyjdę, zamknij drzwi. Wszystko będzie dobrze, tylko muszę zasnąć — powiedział na odchodne, po czym wybiegł z domu i skierował się na północ.

* * *

Chmury nad wsią zaczęły robić się coraz gęstsze. Biegając do Jędrzeja Boronia, słyszał dochodzące z niebios piski i szepty przyprawiające o gęsią skórkę. Powietrzne demony powoli się rozszerzały.

Obyś tylko był w domu, Staszek błagał w myślach i odsapnął, stanąwszy przed drzwiami. Nie miał czasu na kulturalne pukanie i oczekiwanie, aż ktoś mu otworzy. Musiał działać natychmiastowo. Błyskawicznie chwycił za klamkę i nacisnął. Poczul ulgę, gdy usłyszał odgłos skrzypiących zawiasów.

— Doktorze! Panie doktorze! — ryknął Stanisław i kaszlnął. Niepokój dzgnał go w serce.

— Na miłość boską... — wyjąkał przerażony Boroń, wbiegając do przedpokoju z kuchni.

— Ależ mnie pan wystraszył. Sądziłem, że kto jak kto, ale pan akurat zna zasady bon-tonu.

Stanisław machnął ręką i zerknął w kierunku kuchni, gdzie paliło się światło.

— Potrzebuję czegoś na sen. Teraz, już! — krzyknął, ku zdziwieniu Boronia. Doktor jedynie zamrugnął oczami. Choć był dwanaście lat młodszy od niego, to teraz, ledwo dotknięty blaskiem kuchennego światła, wyglądał jak żywy trup. Szpakowate włosy — zwykle schludnie uczesane — przypominały teraz bocianie gniazdo. Lekarz miał na sobie rozciągniętą, granatową koszulkę i szare, poliestrowe spodnie.

— Panie Stanisławie, proszę przyjść jutro. Dzisiaj muszę odpocząć, jestem zmęczony po dyżurze — stwierdził doktor Boroń. Stanisław niespodziewanie podbiegł do niego i chwycił za koszulkę. Zanim cokolwiek powiedział, wbił swoje płonące spojrzenie w twarz lekarza i zacisnął usta.

— Zwariował pan? — jęknął Boroń i chrząknął.

— Ja nie, ale świat może zaraz zwariować. Niech mi pan pomoże, doktorze — wymamrotał Stanisław i puścił go.

Jędrzej natychmiast skierował się do kuchni. Szybko jednak wrócił do przedpokoju. Wszystko za sprawą czyjegoś przerażającego krzyku.

* * *

Stanisław obrócił się do tyłu i otworzył szeroko oczy. Wzdłuż bramy oddzielającej posesję doktora od żwirowej ścieżki biegła Bieżeciakowa. Miała ręce wyrzucone wysoko ku górze, ale żaden z nich nie zwracał na nią większej uwagi. Bardziej interesowało ich to, co



podążało jej tropem. Lśniąca sztucznym, złocistym światłem kreatura będąca krzyżówką sporych rozmiarów gada i ptaka. Miała dwa nieduże skrzydła. Wydawała z siebie całą gamę piskliwych dźwięków. Bieżeciakowa krzyczała w niebogłosość i przystanęła na chwilę przy bramie.

— Doktorze, niech mnie pan ratuje! To chyba koniec świata — jęknęła i otworzyła bramkę, a potem zaczęła mknąć ku Boroniowi. Jędrzej najpierw wbił w nią przerażone spojrzenie, a potem, po chwili, przeniósł je na Stanisława. Wyraz jego twarzy sugerował, że pyta: „Co jest grane?”

— Wracają chały i ażdachy — szepnął do siebie mąż Wiesławy, po czym obrócił się w kierunku lekarza i, bez żadnego słowa, wpadł do jego domu.

— One przyszły po mnie. Znikną, kiedy tylko zapadnę w sen, ale musi mi pan pomóc, doktorze. Pilnie potrzebuję czegoś nasennego.

— Nic z tego nie rozumiem. Znikną, kiedy zapadnie pan w sen? Niby jakim cudem? — zapytał Jędrzej Boroń, z zamiarem powstrzymania Stanisława, który wszedł już do jego kuchni.

— Musi mi pan zaufać, doktorze. Proszę o pomoc. Gdy zasnę, wszystko będzie tak jak wczoraj, jak dawniej — powiedział Staszek i zaczął rozglądać się po pomieszczeniu.

* * *

Jędrzej kazał Bieżeciakowej wejść do domu, zamknąć drzwi na klucz i wtedy, po kilku głębszych wdechach, rzucił się ku swojej apteczce. Wywalił z niej kilka srebrzystych, puszystych blistrów po lekach.

— Mam! — krzyknął podekscytowany, gdy wyciągnął przed siebie opakowanie zawierające dwa rzędy tabletek nasennych, po pięć kapsułek w każdym. Niewiele myśląc, wycisnął z jednego rzędu dwie tabletki i wręczył je Stanisławowi.

— Trzymaj — powiedział do niego, a następnie kazał mu wyjść z kuchni. Gdy obaj stanęli w wąskim, pomalowanym na biało przedpokoju, lekarz spojrzył na niego i otworzył usta.

— Tutaj, po prawej, znajdują się drzwi do pokoju gościnnego. W środku jest duże łóżko. Idź tam i spróbuj zasnąć — polecił mu Boroń i poklepał go po ramieniu. Kiedy Stanisław przemknął przez przedpokój i przekroczył próg pokoju gościnnego, lekarz poczuł delikatne ukłucie w klatce piersiowej.

— O, cholera! — wżasnęła, złapał się za głowę i pobiegł do kuchni. Bieżeciakowa, nie mniej zaniepokojona, czmychnęła za nim. Naprzeciwko marmurowej lady, gdzie leżała opróżniona do połowy apteczka, znajdowało się otwarte na oścież okno. Rozchodził się stamtąd widok na starannie wypielęgnowany ogród doktora, któremu ostatnio poświęcał bardzo dużo czasu. Teraz Boroń był skupiony na czymś zupełnie innym. Przerażająca krzyżówka gada z ptakiem próbowała wślizgnąć się do kuchni. Jędrzej zdołał jednak ją delikatnie odepchnąć i zamknąć okno.

— Boże, w samą porę — szepnął, gdy lśniące dziwadło wystawiło z pyska długi, szkarłatny język, co można było odebrać jako gest dezaprobaty. Kreatura przypatrywała mu



Paulina Śliwa



się swoimi koszmarnymi, czarnymi jak szpony mroku ślepiami. Boroń odniósł dziwne wrażenie, że to coś wcale nie ma zamiaru się poddać. Wprost przeciwnie – będzie próbować dalej. Nie mylił się. Stworzenie z niebios wykonało manewr tak szybki, że doktor nie zdążył chociażby mrugnąć. Wystreliło z ziemi niczym pocisk, aby, po niespełna chwili, powrócić.

Uderzyło w szybę z niewyobrażalnie potężną siłą i w końcu znalazło się w kuchni Boronia. Odłamki tłuczonego szkła porozlatywały się w różne strony, ale żaden z nich nie zranił dziwadła nawet w najmniejszym stopniu. Bieżeciakowa, widząc ten festiwal niecodziennych, przeklętych cudów, oparła się o framugę drzwi do kuchni i zsunęła się po niej na ziemię. Miała już wystarczająco dość wrażeń. Boroń z kolei ściągnął brwi i zaczął po cichu modlitwę. Na jego oczach kreatura znowu zaczęła unosić się w powietrzu.

— Niech to się wreszcie skończy — szepnął do siebie i zamknął oczy. Spodziewał się, że zaraz umrze, ale los napisał dla niego zdecydowanie bardziej łaskawy scenariusz. Czekał na wyrok śmierci, podniósł powieki.

Niesamowita krzyżówka gada z ptakiem zniknęła, rozpułyła się tak, jakby w rzeczywistości była tylko płatkami śniegu wystawionym na działanie letniego słońca. Nie mogąc w to uwierzyć, rozejrzał się po kuchni. Żona Bieżeciaka nadal leżała na ziemi, nieprzytomna. Boroń ominął ją delikatnie i wyszedł z kuchni, wprost do przedpokoju, a następnie zaczął powoli kroczyć w kierunku pokoju gościnnego, skąd dochodziły odgłosy głośnego chrapania.

— Czyli to jednak była prawda — powiedział najciszej jak potrafił, przystanąwszy przy mahoniowych drzwiach do tego pokoju. W środku, na łóżku, leżał Stanisław i spał jak niemowlę.

* * *

Stanisław otworzył oczy. Po kilku mrugnięciach, zorientował się, że jest w swojej sypialni, a na zewnątrz glebę oświetlają złociste promyki słońca. Spojrzył na zegarek stojący na dębowej szafce nocnej przy łóżku. Było kilka chwil po dziewiątej.

— Wieśka, gdzie jesteś?! — krzyknął i odizucił na bok bawelnianą kołdrę. Jego żona zaraz wbiegła do sypialni.

— Co się stało?

— Myślałem, że coś ci grozi. Cholera, ale miałem okropny sen — powiedział, przecierając dłońmi twarz.

— Spokojnie, Stachu. To musiał być tylko zły sen — odparła Wiesława i uśmiechnęła się. Nie miała zamiaru mówić mu o koszarze, jaki przeżyła cała wieś. Wspólnie z doktorem Boroniem i mężem Bieżeciakowej przenieśli go do domu, do jego łóżka, i ustalili, że już nigdy więcej nie poruszą tematu, co się wydarzyło minionej nocy.

Stanisław podniósł się z łóżka i ziewnął. Zapowiadał się kolejny, gorący dzień. ❧



MYSZY I LUDZIE

To było dawno i nieprawda. Ale echa tej historii prześladują nas do dzisiaj...

A było to tak. Gdy książę Popiel objął panowanie nad Polanami, marzyło mu się państwo, w którym wszystko chodzi jak w zegarze piaskowym, gdzie ziarenka przesypują się sprawnie, bez zgzytów i zbędnego marudzenia. Tyle że wokół wszystko wyglądało inaczej – Polanie snuli się bez ładu i składu, nie znając swego miejsca i utyskując na władzę. Niektórzy nawet mówili, że *musi to na Rusi, a u nas jeszcze nie*. I co tu zrobić z takim tałatajstwem?

Jął więc Popiel obmyślać daleko idące reformy, w czym wydatnie pomagał mu Wojmił, zaufany doradca. Jednakowoż rychło doszli do wniosku, że jest coś, co stoi na drodze ich zbożnego dzieła. Była to Rada Starszych, która zgodnie z pradawnym obyczajem orzekła, co jest słuszne, a czego żadną miarą nie da się przeprowadzić i zarządzić.



— Co by tu z nimi zrobić, Wojmiłciu? Radźże czym prędzej.

— Hm... A może dać im tyle roboty, żeby nie mieli czasu wydziwiać? Kazać im się wpierw zastanawiać nad drobnymi sprawami, a dopiero potem nad tymi naszymi? Co o tym sądzisz, Wasza Miłość?

— Da się to zrobić, Wojmiłciu? Pomysł jest przedni, przyznaję...

— Nie wiadomo, czy posłuchają, Wasza Łaskawość. I może tak się jeszcze stać, że poniekąd kmięcie zaczną gardłować przeciwko Waszej Miłości...

— To się ich uspokoi, Wojmiłciu. Po dobroci lub nie całkiem. Damy radę.

— Damy radę, Wasza Łaskawość. Co nie mamy dać.

* * *



Jak uradzili, tak zrobili. Rada Starszych podniosła krzyk i orzekła, że tak się nie godzi. Ale kto by ich tam słuchał poza garstką warchołów, co wyszła wnet na ulice grodziszcz. Ich symbolem, wyszywanym pospiesznie na koszulach, był (nie wiedzieć czemu) kot. Niektórzy twierdzili, że to nie zwykły kot, tylko KOT przez same duże litery. Ale co to oznaczało, jeden Świątowitz wiedział.

Pewnego ranka książę Popiel obudził się z mocnym bólem głowy i ozwał się do Wojmiła, że tak dłużej być nie może.

- Przemówię do ludu, Wojmiłciu. Tylko co im rzec?
- Że racja jest po naszej stronie. A tamci to podli zdrajcy.
- Może powiem, że to zakamuflowana opcja niemiecka?
- To już było, Wasza Miłość. Wobec Ślężan. Nie uchodzi ponownie...
- To może rzeknę, że my stoimy tam, gdzie wtedy, a oni tam, gdzie stali woje Zygryda?
- To też już było.
- To może, że to gorszy sort Polan? Tego jeszcze nie było, co?
- Nie było, Wasza Łaskawość. I jakież to trafne! Jakby to nie ludzie wcale, tylko my-

szy jakieś, co się po kątach chowają przed wzrokiem Waszej Miłości.

— Jasne, Wojmiłciu! Myszy, co pod KOTem służą! Paradnie wyszło, co?

* * *

Słowa padły, ale myszy wcale nie rozpiezchły się po kątach, jeno jęły demonstrować pod samą siedzibą władcy, która rychło zaczęła być zwana Mysią Wieżą. Niektórzy twierdzili, że prędzej czy później myszy dobiorą się Popielowi do skóry i zjedzą go żywcem. Ale czego to ludzie nie wygadują...

Czy myszy w końcu zjadły Popiela, jeden Perun wie. Ale wszak nie to jest najważniejsze w tej historii, prawda? ❖

(8.04.2016)



